

HARLEQUIN

Światowe Życie®



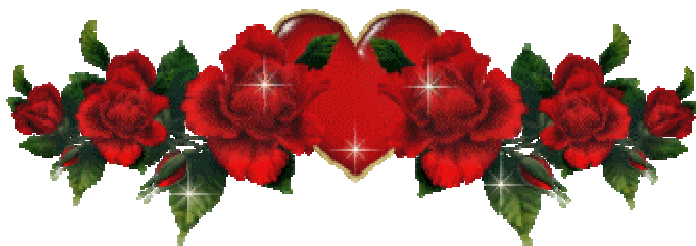
NR. 40 12/08 INDEKS 389994 CENA 7,99 ZŁ W TYM 6% VAT

Carole Mortimer  
*Noc cudów*



*Carole Mortimer*

---



*Noc cudów*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Znowu pada śnieg, mamusiu! - krzyknął podniecony Scott z tylnego siedzenia auta.

Słabo powiedziane!

Śnieg nie padał zwyczajnie, lecz sypał gęsto i wirował, przechodząc niemal w burzę śnieżną. Zresztą, jak ostrzegało radio, którego Meg słuchała podczas jazdy, wieczorem miała rozpętać się zamieć.

Kiedy trzy godziny temu opuszczali Londyn, z nieba spadały delikatne białe płatki, piękne w swej delikatności, budzące podziw i radość. Nie miały szans przetrwania na ruchliwych ulicach miasta, choć niektóre z nich z uporem czepiały się dachów domów.

Niestety. Im bardziej Meg oddalała się od Londynu, tym śnieg padał gęściej. Teraz pokrywał ziemię grubą warstwą, utrudniając odróżnienie drogi od zasy, a płatki śniegowe tak oblepiały przednią szybę, że wycieraczki ledwo sobie z nimi radziły.

Coraz trudniej było też zapanować nad samochodem; koła ślizgały się na grubiejącej warstwie śniegu, sytuację pogarszał jeszcze zmierzch, który zapadł ponad godzinę temu, a przednie światła zdawały się padać na ścianę bieli zamiast oświetlać drogę.

Trzypółletni Scott, drzemiący przedtem na tylnym siedzeniu, nie spał już od godziny, lecz ta sytuacja była całkowitą nowością w jego krótkim życiu i widział w niej okazję do zabawy, nie zagrożenie.

Zadbała o to Meg, rzucając przelotne spojrzenia na jego odbicie we wstecznym lusterku. Jej uśmiech stawał się ciepły i kochający, gdy

widziała jego rozczochrane ciemne włoski i nadal rozspaną buzię.

Wystarczy, że jedno z nich jest zdenerwowane i wystraszone.

- Prawda, jak pięknie? - zgodziła się, pospiesznie skupiając uwagę na drodze. Wystarczyła chwila dekoncentracji, by samochód zjechał na bok.

Nie powinna była wybierać się w podróż samochodem. Jazda pociągiem byłaby o wiele łatwiejsza. I gdyby pojawiły się jakieś problemy ze śniegiem, miałyby przynajmniej towarzystwo innych dorosłych.

Co najmniej od pół godziny nie spotkała żadnego samochodu czy nawet ciężarówki.

Oczywiście, miało to coś wspólnego z nadawanymi przez radio ostrzeżeniami policji, aby „nie wybierać się w podróż, o ile nie jest to bezwzględnie konieczne”. Ostrzeżenie to przyszło za późno, gdy Meg miała już za sobą ponad dwie trzecie drogi.

- Będę mógł ulepić bałwana, kiedy dojedziemy do babci i dziadka? - z nadzieją w głosie spytał Scott. Na szczęście nadal nie zdawał sobie sprawy, jak groźne jest ich położenie.

- Oczywiście, kochanie.

Najistotniejszym słowem w pytaniu Scotta było „kiedy” - Meg bała się bardzo, że nie zdążą dziś wieczór dojechać do domu rodziców, jak planowała.

W tej chwili prawie nie widziała, dokąd jadą; wydawało się, że w świetle reflektorów śnieg staje się bielszy, bardziej błyszczący i oślepiający. Gdyby tylko spostrzegła dom lub pub, jakikolwiek budynek, mogłaby zatrzymać się i poprosić o pomoc.

- Mamo, siusiu.

Instynktownie zacisnęła dłonie na kierownicy; odkąd dwa lata temu nauczyła synka korzystania z nocnika, przekonała się, że ten odwieczny

okrzyk wywołuje w każdej matce panikę. Bo zawsze rozlegał się, gdy matka stała w długiej kolejce w supermarkecie, siedziała w autobusie, przymierzała buty - albo znajdowała się w samym sercu śnieżnej zamieci.

I równie szybko nauczyła się, że nie ma sensu prosić, by dziecko poczekało, aż matka skończy to, co właśnie robi - kiedy dzieci oznajmiały, że muszą iść do ubikacji, musiały to zrobić natychmiast.

Jednak Meg podjęła próbę.

- Możesz troszkę poczekać, Scott? - Jesteśmy już niedaleko domu babci i dziadka - dodała z większą nadzieją niż przekonaniem.

Nie miała zielonego pojęcia, gdzie się znajdują, gdyż od wielu mil nie była w stanie zobaczyć drogowskazu.

- Ja muszę już! - padła przewidywalna odpowiedź.

Była tak spięta od koncentrowania się na jeździe, że bolały ją ramiona i ręce; ten dodatkowy problem jeszcze pogłębił stres. To nie była wina Scotta. Ale nie mogła przecież zjechać na pobocze - gdyby nawet je odnalazła - aby wyprowadzić synka na zewnątrz i pozwolić mu się załatwić. To nie był środek lata, lecz wieczór poprzedzający Wigilię, z temperaturą poniżej zera. Gdyby tylko zdołała znaleźć jakikolwiek budynek, choćby stodołę, gdzie mogliby się schronić i przeczekać...

Jak tylko ta myśl przeszła jej przez głowę, poczuła, że traci panowanie nad kierownicą.

- Trzymaj się, Scott - zdążyła rzucić ostrzeżenie, zanim zobaczyła wyrastający przed nią ciemny kształt.

Samochód zatrzymał się, uderzywszy w nieruchomy obiekt. Huk zderzenia był niemal ogłuszający w zestawieniu z ciszą zaszypanego śniegiem otoczenia.

- Mamusiu? Mamusiu! - krzyknął histerycznie Scott, gdy nie odpowiedziała od razu.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go, dotykając dłonią miejsca na głowie, które parę sekund wcześniej zderzyło się z przednią szybą.

O dziwo, choć silnik zgasił na skutek uderzenia, światła nadal działały, i kiedy Meg odwróciła się, zobaczyła Scotta nadal przypiętego pasem na fotelu; łzy spływały mu po buzi, próbował wyciągnąć ręce i jej dotknąć.

- Wszystko w porządku, dziecinko. Opanowała chęć płaczu. Widząc i wyczuwając jego lęk, zaczęła szarpać klamrę pasa, chcąc jak najszybciej wysiąść z samochodu i podejść do synka, przytulić go i zapewnić, że obojgu nic się nie stało.

Zanim jednak zdołała cokolwiek zrobić, drzwi obok niej otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do środka podmuch lodowato zimnego powietrza. Meg zbladła i krzyknęła głośno na widok zjawy, która wyłoniła się przed nią.

- Mamusiu, to niedźwiedź! - wrzasnął Scott z tylnego siedzenia.

Wielki, włochaty niedźwiedź grizzly.

Niebieskokooki grizzly, uświadomiła sobie, gdy mężczyzna odrzucił w tył kaptur grubej kurtki, i śnieg natychmiast zaczął pokrywać jego gęste, ciemne włosy.

- Nic się pani nie stało? - warknął z niepokojem i zwrócił przymrużone niebieskie oczy na Scotta, który od razu zaczął płakać.

- Muszę iść do niego! - szepnęła wystraszona, gramoląc się z samochodu.

Mężczyzna cofnął się, przycisnęła się obok niego, szarpnięciem otworzyła tylne drzwi.

- Już dobrze, Scott. Nic nam się nie stało. - Tuliła go do siebie, czując, jak wstrząsa nim szloch. - Ten miły pan przyszedł nam pomóc. - Taką żywiła nadzieję.

Najprawdopodobniej rozbiła się o ścianę domu ekscentrycznego samotnika, który nie lubi kobiet ani dzieci i nie ma najmniejszego zamiaru im pomóc.

Zresztą w tej chwili nie obchodziło jej, kim lub czym jest ten mężczyzna, była na to zbyt zmęczona i wstrząśnięta. Mogła tylko spojrzeć na niego podsinionymi, zielonymi oczami i spytać:

- Czy znajdzie się dla nas miejsce w tej gospodzie? Co było wyjątkowo idiotycznym pytaniem, jak uświadomiła sobie kilka minut później, wzdrygając się w duchu, kiedy ona i Scott - po krótkiej wizycie w ubikacji - siedzieli przed trzaskającym w kominku ogniem i popijali gorącą czekoladę.

Ich wybawiciel spojrzał tylko na nią kpiąco niebieskimi oczami i odpowiedział:

- Przykro mi, że łamię tradycję, ale jest dla was miejsce w tej gospodzie.

Potem wziął ją i Scotta na ręce - a nie był to mały ciężar, była tego pewna - i wniósł ich do domu.

Cóż, nie był to właściwie dom, zauważyła, rozglądając się dokoła, raczej wiejski dworek, z niskimi, belkowanymi sufitami i małymi pokojami. To właściwie nie miało znaczenia: grunt, że w środku było ciepło, sucho i znaleźli się poza zasięgiem zamieci nadal szalejącej na dworze.

- I w tę zamieć wyszedł ich gospodarz po przyrządzeniu dla nich gorącej czekolady.

Scott, usadowiony wygodnie na kolanach matki, zerknął nieśmiało zza jej ramienia w kierunku drzwi.

- Dokąd ten pan poszedł, mamusiu?

Nie wiedziała, co mogłaby odpowiedzieć, poza ogólnikowym „na dwór”.

- Mam na imię Jed - powiedział mężczyzna, wchodząc do małego saloniku. Bardziej niż poprzednio przypominał niedźwiedzia, jego grubą kurtkę i kaptur dosłownie pokrywał śnieg, odpadał grudami z wysokich butów.

- Pani własność. - Wręczył Meg torebkę, którą zostawiła w samochodzie na siedzeniu pasażera. - I twoja - dodał łagodniejszym tonem, podając Scottowi plecaczek z jego zabawkami, które zabrał ze sobą, by bawić się nimi w podróży. - I pani kluczyki. - Upuścił je w wyciągniętą rękę Meg. - Choć nie sądzę, aby ktoś w najbliższym czasie chciał ukraść pani samochód - dorzucił kwaśno, zrzucając z siebie ciężką kurtkę. - Nieźle rozwalila pani przód.

W trakcie tej rozmowy czy raczej monologu - Meg zbyt silnie szczykała zębami, by mogła mu odpowiedzieć - wyjaśniły się dwie sprawy. Pierwsza - że mężczyzna mówi z amerykańskim akcentem, druga - że bez kurtki wygląda o wiele mniej przerażająco.

Był wysoki, miał zmierzwione, ciemne włosy; czarny sweter okrywał szerokie ramiona, spłowiałe džinsy opinały ciasno wąskie biodra i silne uda. Ciemnoniebieskie oczy osadzone w twarzy koloru mahoni i kwadratowa linia szczęki nadawały mu wygląd człowieka pewnego siebie.

Meg instynktownie objęła mocniej Scotta, gdy te bystre niebieskie oczy zmierzyły ich oboje z uwagą. Wiedział, co zobaczy: kobietę z gęstymi włosami opadającymi niemal do pasa, drobną twarzyczką w



kształcie serca, zielonymi oczami i piegami na nosie, trzymającą na kolanach chłopczyka o takim samym kolorycie i z takimi samymi piegami.

Poza trzaskiem ognia w kominku w pokoju panowała cisza, która stawała się przytłaczająca.

Meg poruszyła się.

- Przykro mi, że w taki sposób zakłóciliśmy spokój pana i pańskiej rodziny, panie.... eee... Jed - powiedziała niezręcznie.

- Nie ma tu żadnej rodziny, jestem sam - rzekł lekko, schylając się, by dorzucić następne polano do ognia. - Hej - mruknął uspokajająco, gdy Meg i Scott cofnęli się w krzesła. - Wiem, że od kilku miesięcy nie byłem u fryzjera, ale chyba nie wyglądam jak niedźwiedź?

Meg była pewna, że uśmiech, który im rzucił, miał być krzepiący, ale sprawił tylko, że gospodarz bardziej przypominał wilka niż owieczkę. Oblizła wyschnięte wargi. Zamieć i wypadek musiały sprawić, że stała się przewrażliwiona: ten człowiek był ich wybawcą, nie napastnikiem.

- Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować za ratunek, panie... Jed - powiedziała, wstając i sadzając Scotta na krzesła. - Bez pana pomocy Scott i ja mogliśmy... No cóż, każde podziękowanie będzie za słabe.

- Nie ma za co - wycedził obojętnie Jed, wstając i znowu górując nad nią.

Meg wytrzeszczyła na niego oczy. W tym małym pokoju wydawał się niezwykle wysoki.

- Jeśli poda mi pan numer telefonu tutejszego warsztatu samochodowego, zadzwonię i dowiem się, czy mogą odholować mój samochód, zanim zabiorą nas do najbliższego...

Nie? - spytała niepewnie, gdy mężczyzna kpiąco potrząsnął głową.

- Nie - potwierdził. - Jest już wpół do szóstej, więc warsztat w mieście będzie zamknięty. A gdyby nie był, bardzo wątpię, czy wyjechałoby w taką pogodę. Nie sądzi pani? - Zerknął znacząco na okno, za którym wciąż padał gęsty śnieg.

Spojrzała na Scotta, który stracił zainteresowanie rozmową dorosłych i wyciągał z plecaka zabawki. Doskonale - nie musiał widzieć, że matka się denerwuje. Co powinna teraz zrobić?

Z tego, co powiedział mężczyzna, samochód nie nadawał się do użytku. Śnieg wciąż padał, i nawet te kilka minut, które spędziła na dworze, przechodząc do budynku, przekonały ją, że nie ma mowy, aby Scott mógł iść dokądkolwiek w takich warunkach. Poza tym nie miała pojęcia, gdzie się znajdowali.

Jed przyglądał się zmianom uczuć na twarzy kobiety, choć określenie „kobieta” było zbyt naciągnięte. Wprawdzie chłopczyk nazywał ją mamusią, jednak sama wyglądała jak dziecko. Nie była wysoka, wydawało się, że nie stosowała wcale makijażu, jej twarz ubarwiała jedynie smuga piegów na nosie i szmaragdowozielone oczy, otoczone najdłuższymi, czarnymi rzęsami, jakie widział. Gdyby nie kilka kosmyków opadających na czoło, długie, lśniące czarne włosy nie zasługiwałyby na miano fryzury. Sądząc po zboliałym wyrazie twarzy i jej bladości, była coraz bardziej wystraszona. Co prawda, jego też nie cieszył rozwój wypadków. Nie po to zamknął się w tej samotni na odludziu, żeby jego spokój i odosobnienie zakłóciła zielonooka przybłęda z dzieckiem. Ale jeśli sytuacja budziła w niej niepokój, opanowała go, zanim się przedstawiła.

- Jestem Meg Hamilton - zdołała nawet lekko wygiąć pełne usta w uśmiechu, wyciągając do niego szczupłą dłoń. - A to mój syn, Scott -

dodała z dumą, spoglądając na malucha, zabawiającego się traktorem i kilkoma zwierzątkami.

Jednego można być pewnym, pomyślał smętnie Jed. Anglik nawet podczas zamieci nie zapomni o dobrych manierach.

- Jed Cole - rzucił i potrząsnął dłonią Meg, uważnie szukając w jej twarzy oznak, że rozpoznała jego nazwisko. Ale wydawało się, że tylko odczuła ulgę, iż dopełnili obowiązkowych formalności, jak gdyby dodało to jej pewności siebie.

A może tylko jest dobrą aktorką, przyszła mu do głowy cyniczna myśl. Od dziewięciu miesięcy, odkąd jego życie stało się publiczną własnością, kobiety próbowały różnych sztuczek, aby go poznać. Jedna z nich wśliznęła się nawet do jego klubu sportowego, by napastować go pod prysznicem.

Może jednak ciągnięcie ze sobą dzieciaka podczas zamieci śnieżnej to już przesada, nawet dla najbardziej zagorzałej fanki. A sądząc po obojętnym wyrazie twarzy Meg Hamilton, nie należała do tego gatunku.

- Czy jest tu gdzieś w pobliżu hotel? - spytała, jak mu się wydawało, bez zbytniej nadziei na twierdzącą odpowiedź.

- Bardzo mi przykro, że panią rozczaruję. - I naprawdę było mu przykro, bo z niechęcią myślał o takim naruszeniu swojej prywatności. Oczywiście, nie pozostawiłby jej i dzieciaka na dworze, aby tam zamarзли - po prostu żałował, że nie wybrała sobie innego domu, aby w niego wjechać.

Jednakże przebywając od dwóch miesięcy na tym odludziu - musiał przyznać, że nie były to zbyt płodne miesiące - odwykł od uprzejmej konwersacji. O ile kiedykolwiek umiał ją prowadzić. Prawdopodobnie nie

umiał, ocenił niechętnie. Nigdy nie tolerował głupców, a podróżowanie samochodem z dzieckiem w taką pogodę było szczytem głupoty.

- Nie ma żadnego hotelu - warknął. - Prawdę mówiąc, poza tym domem nie ma tu niczego - dorzucił ostro.

Na jasnym czole kobiety pojawiła się zmarszczka.

- Ale nie możemy być zbyt daleko od Winston, prawda...? - spytała niepewnie.

Przesunęła drobnymi, smukłymi dłońmi po obciągniętych dzinsem udach, zdradzając tym gestem zdenerwowanie. I powinna być zdenerwowana: podróżując w taką pogodę, narażała życie swoje i dziecka. I po co? Nie miał pojęcia, ale żaden powód nie był wystarczający.

W jego głosie słyhać było zniecierpliwienie i gniew.

- Około dziesięciu mil, choć równie dobrze mogłoby być nawet sto - dodał surowo, gdy twarz jej się rozjaśniła. - Musiała pani skrócić w złym kierunku z pół mili temu, bo to jest prywatna droga, prowadząca tylko do tego domu. A nawet gdyby jutro wzięli się do odśnieżania, ta droga pozostanie zasypana.

Dlaczego miałbyś nie mówić jej, jak wygląda sytuacja, skarcił się z niechęcią, gdy łzy napłynęły do tych zielonych oczu. Ale jeśli nie zjawiała się tu, by się z nim spotkać - a raczej wierzył, że nie miała takiego zamiaru, jej zmartwienie było zbyt autentyczne - to co ta kobieta-dziecko robiła na tym odludziu dwa dni przed Bożym Narodzeniem?

Zmarszczył brwi.

- Skąd pani jechała?

- Z Londynu - odpowiedziała bezbarwnym tonem. - Nie padało, gdy wyjeżdżaliśmy... W każdym razie, nie bardzo - poprawiła się, gdy jej syn próbował coś powiedzieć.

Prawda przemawia ustami dziecka. Jednak Jed przyjął, że prawdopodobnie w stolicy nie było aż takich opadów. Ale Londyn był oddalony o co najmniej sto dwadzieścia mil.

- Nie miała pani dość rozsądku, by zatrzymać się gdzieś, kiedy pogoda się pogorszyła? - wyładował swoje zniecierpliwienie. Co miał począć z nieoczekiwanymi gośćmi? - Najwyraźniej nie!

Rumieniec pokrył jej policzki.

- Teraz wiem, że powinnam tak zrobić - odpowiedziała z zakłopotaniem, jej zielone oczy zaśniły gniewem, nie łzami. - Ale nie zrobiłam.

Wysunęła wyzywająco brodę, jak gdyby zachęcała go do dalszej krytyki. Jed bez wahania zaakceptował wyzwanie.

- I teraz pani i dzieciak jesteście moimi gośćmi. - Nieproszonymi gośćmi, mógłby dodać, ale wiedział, że ton głosu powiedział to za niego.

Zacisnęła z uporem wargi.

- Dzieciak ma na imię Scott - poprawiła sztywno, najwyraźniej niezadowolona z jego uwag. - I jestem pewna, że istnieje jakiś sposób, abyśmy się stąd wydostali i zostawili pana w pańskiej samotni. - Ostatnie słowo zabrzmiało pogardliwie.

Jego zdaniem, samotnia nie była czymś, czym należało pogardzać; wiele go kosztowało jej zdobycie.

Ale trudno mu było nie podziwiać małej kobietki. Nie tylko nie straciła przytomności umysłu podczas zamieci - gdyby po prostu zatrzymała się i próbowała przeczekać, zamarzałaby z synkiem na śmierć - i zachowała ją po wypadku, ale nadal miała dość odwagi, by stawić czoło swemu niechętnemu wybawcy.

A był niechętny, nie miał bowiem pojęcia, co zrobić z tą parą, i wiedział, nawet jeśli Meg Hamilton tego sobie nie uświadamiała, że musi im zapewnić co najmniej jeden nocleg.

Jed Cole, wybawca. Nie była to rola, w której by siebie widział; prawdę mówiąc, zaskoczyłby tym wielu swoich przyjaciół. W zeszłym roku doszedł do wniosku, że ludzie - nawet kruczowłose i zielonookie przybłądy - pozostawiają wiele do życzenia i należy ich unikać, jeśli to możliwe.

Tego jednak w tej sytuacji nie mógł zrobić, co tylko pogorszyło jego i tak zły nastrój.

- Naprawdę? - Opadł na wolny fotel, przerzucił nogę przez oparcie i spojrzał pytająco na Meg. - Bardzo chętnie poznałbym ten sposób. - Uniósł ciemne brwi.

- Może moglibyśmy dojść do...

- Za oknem szaleje zamieć - przerwał niecierpliwie. - Są wysokie zaspasy. Gdyby dzieciak... Scott - poprawił się niechętnie, gdy spojrzała na niego - ...gdyby wpadł w jedną z nich, nigdy by go pani nie odnalazła.

Znowu obserwował walkę uczuć na jej twarzy: tym razem dobre wychowanie zmagало się z gniewnym zniecierpliwieniem, a nie - jak wcześniej - z paniką. Gniew zwyciężył; rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Znalazłabym go - stwierdziła ponuro. Mógłby się o to założyć, w tej chwili przypominała lwicę broniącą małego. Wzruszył ramionami.

- Zgubiła się pani, jadąc samochodem. Jak pani myśli, jaką szansę mielibyście, idąc pieszo?

Zmarszczyła brwi, stanęła w obronnej pozycji przed synkiem i odpowiedziała cicho:

- Umyślnie stara się pan mnie przestraszyć? Jed przyjrzał się jej z namysłem.

- Udało mi się? - spytał ironicznie.

- Jeśli o to panu chodziło, niepotrzebnie jest pan taki okrutny - odpaliła cierpko. - Proszę posłuchać, zdaję sobie sprawę, że sprawiliśmy kłopot, zjawiając się tak...

- Wjechała pani w ścianę tego cholernego domu - przypomniał jej.

Wróciło do niego słabe echo niedowierzania, jakie odczuł w tamtym momencie. Siedział rozluźniony przy płonącym na kominku ogniu, wpatrywał się w zamyśleniu w migotliwe płomienie, sącząc powoli whisky, gdy usłyszał przerażający huk i wydawało się, że cały budynek zadrżał. Pomyślał, że ściana domu zaraz runie na niego.

- Cóż. Tak... Wiem, ale... - skrzywiła się, urażona - nie zrobiłam tego umyślnie - dodała żałośnie. - I czy mógłby pan nie przeklinać w obecności Scotta? Nie chciałabym dodawać takich wyrażen do jego słownika.

Nie tylko został narażony na poważne niedogodności, teraz mówiono mu jeszcze, co powinien, a czego nie powinien mówić. Spojrzał na nią wilkiem.

- Czy gdzieś jakiś pan Hamilton oczekuje z niepokojem waszego przybycia? - Gdyby tak było, z radością przekazałby innemu mężczyźnie odpowiedzialność za ratowanie jego żony i syna.

Przez chwilę sprawiała wrażenie oszołomionej, jak gdyby przypomniał jej coś, o czym zapomniała, rumieniec gniewu zniknął z jej twarzy, w której znowu uwagę przyciągały tylko oczy. Oczy pełne bezbronności, pomyślał z zażenowaniem. Przygryzła dolną wargę.

- Tak, istnieje pan Hamilton.

- Mam nadzieję, że jest gdzieś niedaleko? - spytał ostro, niezbyt zadowolony z opiekuńczych uczuć, które zaczęła w nim budzić ta kobieta. Gdyby mógł odesłać ją do jej życia, mógłby wrócić do swojego.

- I pani Hamilton - dorzuciła z roztargnieniem. - Moi rodzice - uzupełniła, gdy z zaskoczeniem zmarszczył brwi.

Jej rodzice, pan i pani Hamilton. To znaczyło, że mąż nie przybędzie na ratunek, bo go nie ma.

- Jechałam do nich na święta, kiedy... - Dolna warga zadrżała jej lekko, wzięła głęboki oddech dla uspokojenia i ciągnęła: - Zanim się zgubiłam. Czy mogłabym skorzystać z pana telefonu i zadzwonić do nich? - Znowu wysunęła z wyzwaniem ostry podbródek. - Mój ojciec nie czuje się dobrze i na pewno oczekiwali, że o tej porze już u nich będziemy.

Jed zmarszczył czoło. Nie powiedziała „będą martwić się o mnie i o wnuka”, tylko „na pewno oczekiwali, że o tej porze już u nich będziemy”. Prawdopodobnie przywiązywał do tego sformułowania zbyt wielką wagę. Poza tym, czy to jego sprawa?

- Oczywiście. - Wskazał gestem telefon, umieszczony na stoliku obok drzwi. Starego typu, z czasów przed wprowadzeniem przycisków.

Ale, jak się przekonał, kiedy zjawił się tu dziewięć tygodni temu, wszystko w tym domu trąciło myszką. Od prześcieradeł i kocy na łóżkach zamiast kołder, do kominka. I nie liczył już, ile razy walnął głową w jakąś belkę na niskim suficie podczas pierwszych tygodni pobytu, zanim nauczył się odruchowo schylać, ilekroć wstawał. Z pewną goryczą stwierdził, że Meg Hamilton nie miała takiego problemu. Gdy podeszła do telefonu, jej kruczoczarna głowa znalazła się co najmniej o stopę poniżej tych niewinnie wyglądających a potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznych



belek. Nie, przyczyna jej zdenerwowania musiała być inna. Podniósł się na nogi.

- Jeśli pani chce, zabiorę Scotta do kuchni, żeby mogła pani spokojnie porozmawiać. - Nie miał pojęcia, co skłoniło go, by jej to zaproponować, wyczuł jedynie, że z niechęcią myślała o tej rozmowie. Rzuciła mu niepewne spojrzenie, potem spojrzała na syna, który wciąż bawił się traktorem.

- Nie, ja... Wszystko w porządku. Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Muszę ich tylko zawiadomić, że nie zdążę na kolację.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer.

Bez słowa znowu osunął się na fotel. Ale zastanawiał się nad tym, co zdradziły jej słowa. Bo gdyby jego matka spodziewała się, że syn ma przyjechać do domu podczas zamieci, a on by tego nie zrobił, zawiadomiłaby miejscową policję, prawdopodobnie FBI, oraz wysłała na poszukiwania ojca i dwóch braci. Może zareagowałyby przesadnie, ale w tych warunkach ostatnią rzeczą, która przyszłaby jej na myśl, była kolacja.

- Mama? - spytała z napięciem w głosie Meg, gdy ktoś odebrał telefon. - Tak, bardzo przepraszam. Prawdopodobnie jutro, mniej więcej o tej porze. Tak, zdaję sobie sprawę. Oczywiście, dam ci znać, gdybyśmy mieli dojechać na lunch. - Zamilkła, przysłuchując się dłuższej odpowiedzi. - Tak zrobiła? - Głos Meg wydawał się teraz bardziej napięty. - Tak, też powinnam była wybrać pociąg, ale musiałam zabrać ze sobą rzeczy Scotta i... Tak, na pewno zadzwonię do ciebie jutro, by potwierdzić nasz przyjazd.

Jej dłoń, jak zauważył Jed, marszcząc brwi, lekko drżała, kiedy odkładała słuchawkę. Wydawało się, że instynkt go nie mylił. Pani Hamilton bardziej przejęła się przygotowaniem do kolacji niż losem córki

i wnuka. Spojrzał na Scotta, który siedział przed kominkiem i ustawiał swoje zwierzęta na dywanie. Na ile mógł się zorientować, babka nie spytała o niego ani razu.

Wyprostował się w fotelu, uświadomiwszy sobie, co właśnie robi. Nie będzie się w to mieszał. Dziewczyna i jej syn ruszą swoją drogą, jak tylko zdoła ich wyprawić, i jeśli o niego chodzi, na tym sprawa się skończy. Nie będzie się angażował.

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

Ukończywszy rozmowę, Meg celowo stała przez kilka sekund zwrócona plecami do Jeda. Próbowała wziąć się w garść.

Dłonie miała wilgotne, jednocześnie czuła zimny dreszcz przebiegający jej po plecach - nie była to niezwykła reakcja na rozmowę z matką.

Nie miała pojęcia, jak matka to robi: być może większą rolę ogrywał ton jej głosu niż wypowiedane słowa. Wiedziała tylko, że po pięciu minutach rozmowy z nią czuje się bardziej jak pięciolatka niż jak dorosła kobieta, która ma syna.

Oczywiście, nie chodziło tylko o to. Jej siostra Sonia również miała być u rodziców na święta, więcej, już u nich była, rozsądnie zdecydowawszy się na podróż pociągiem. Zrezygnowała z wyjazdu na narty, ponieważ jej mąż skreślił nogę w kostce podczas gry w golfa, więc nie mógłby z nią jeździć.

Sonia, z jej markowymi ubraniami, pomyślnie rozwijającą się karierą i niezwykle stosownym małżeństwem.

Sonia, która jak lubiła to podkreślać matka, była wszystkim, czym Meg nie była, i miała wszystko, czego Meg nie miała.

Meg kupowała ubrania w zwykłych sklepach, pracowała jako projektant wnętrz, dzięki czemu nie musiała obawiać się wizyty właściciela domu i mogła płacić rachunki, ale niewiele jej zostawało na inne potrzeby. Jeśli chodzi o małżeństwo, miała Scotta, zamiast - jak wołałaby matka - odpowiedniego małżonka.

Sonia może zatrzymać sobie swój styl życia bogaczki i odpowiedniego męża; Meg od tego wszystkiego wołała synka.

- Miałem właśnie zająć się robieniem kolacji, kiedy się zjawiliście - odezwał się cicho Jed za jej plecami.

Meg wyprostowała się i odwróciła do niego, spychając myśli o Soni i rodzicach w zakamarki umysłu. Jutro będzie miała dość czasu, by o nich myśleć. A może nawet pojutrze, uznała smętnie, spojrzawszy w okno na wciąż gęsto padający śnieg.

W tej chwili powinna zająć się bardziej pilnym problemem - była gościem w domu Jeda Cole'a, i to gościem niepożądanym.

Trudno powiedzieć, by okoliczności jej przybycia były zbyt miłe. Wjechała samochodem w ścianę jego domu. Biedak musiał zachodzić w głowę, co też się stało.

Nie wiedziała właściwie, dlaczego parsknęła śmiechem, tak jednak było i nie mogła nic na to poradzić. Prawdę mówiąc, im bardziej próbowała się powstrzymać, tym głośniej się śmiała.

- Przepraszam. - Potrząsnęła bezsilnie głową. - Ja... nie mogę uwierzyć, że naprawdę wjechałam w pana dom.

Śmiała się tak niepowstrzymanie, że łzy spłynęły jej po policzkach.

- Dlaczego mamusia płacze? - Scott zerknął na nią z troską.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział ponuro Jed, robiąc krok w jej kierunku. - Może by się pani uspokoiła - warknął. - Wystraszy pani dzieciaka.

Scott sprawiał wrażenie bardziej zaintrygowanego niż wystraszonego jej zachowaniem, więc raczej prawdopodobne było, że wystraszyła mężczyznę, a nie „dzieciaka”. Jed Cole wpatrywał się w nią niepewnie, jakby nie wiedział, czy powinien nią potrząsnąć, czy wymierzyć jej policzek.

Na żadne z tych rozwiązań nie miała specjalnej ochoty, choć czuła, że jemu mogłyby sprawić przyjemność.

- Naprawdę bardzo przepraszam. - Robiła co w jej mocy, aby powstrzymać śmiech. Spojrzała mu w oczy, ocierając łzy. - Podobno zamierzał pan przygotować kolację?

Histeryczny nastrój nie minął jej całkowicie, nadal czaił się gdzieś w pobliżu, ale w tej chwili wydawała się nad sobą panować.

Jed nadal obserwował ją czujnie. Zacisnął z dezaprobatą zęby.

- Stek z frytkami - rzucił pospiesznie. - Wystarczy dla dwojga, jeśli jest pani zainteresowana - dodał sztywno. - Chociaż co pani mogłaby dać dziecku...

- On ma na imię Scott - powiedziała stanowczo. - I Scott je to, co ja. Mężczyzna skrzywił się.

- Więc myślę, że steków i frytek wystarczy dla trojga.

Odwrócił się na pięcie i szybko opuścił pokój. Chwilę potem doleciał ich dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

Meg zerknęła na Scotta. Wydawał się uspokojony, że z mamą wszystko było w porządku, i znowu zajął się zabawkami.

- Scott, idę pomóc panu Cole'owi w przygotowaniu kolacji. Chcesz iść ze mną, czy wolisz zostać tutaj i dalej się bawić?

Kominek miał osłonę, a synek bawił się na tyle daleko od ognia, by nic mu nie groziło.

- Zostanę - postanowił, jak należało oczekiwać.

- Mamusiu, tu nie ma choinki - dodał, marszcząc brwi.

Nie było choinki. Ani ozdób. Ani świątecznych pocztówek. Prawdę mówiąc, nic nie wskazywało, że już jutro Wigilia.

- Nie wszyscy obchodzą Boże Narodzenie tak jak my - wyjaśniła z uśmiechem. - Jestem pewna, że babcia i dziadek mają dużą choinkę i będziesz mógł ją jutro obejrzeć.

Będzie stała, jak zwykle, w holu. Z ozdobami zawieszonymi w należyтым porządku, ze sznurami białych lampek - matka nie znosiła kolorowych - a pod nią ułożone będą prezenty, schludnie owinięte wstążeczkami, zawiązanymi w zgrabne kokardki.

Jakie to odmienne od choinki, którą zostawili w swoim mieszkaniu, pomyślała z tęsknotą Meg. Obwieszanej własnoręcznie wykonanymi ozdobami i łańcuchami z papieru, owiniętej anielskim włosiem z folii aluminiowej i wielobarwnymi światełkami w ilościach wystarczających na czterokrotnie większe drzewko.

- Kochanie, pójdę pomóc w kuchni panu Cole'owi - powtórzyła i pochyliła się, żeby pocałować kruczoczarne włosy syna. - Jeśli będziesz mnie potrzebował, po prostu zawołaj.

Nietrudno było odszukać kuchnię w tym niewielkim domku. Drzwi do pokoju naprzeciwko saloniku były otwarte, ukazując niewielką jadalnię, co znaczyło, że zamknięte drzwi w końcu korytarza musiały prowadzić do

kuchni. Zresztą bez uciekania się do procesu eliminacji łomot garnków i zapach jedzenia poinformowałyby ją, gdzie znajduje się Jed Cole.

Jed Cole.

Stanowił prawdziwą zagadkę. Nawet bez amerykańskiego akcentu jasne było, że nie pasuje do tego miejsca. Był za duży; albo raczej domek był dla niego za mały. Poza tym wystrój wnętrza i meble były zbyt zniszczone i wyblakłe. A choć Meg nie kupowała sobie drogich ubrań, umiała rozpoznać kaszmirowy sweter, spłowiałe džinsy miały na tylnej kieszeni naszywkę drogiej firmy, pantofle, które włożył po zdjęciu ciężkich butów, zrobione były z miękkiej, czarnej skóry.

- Więc proszę mi powiedzieć - odezwała się pogodnie, wchodząc do kuchni, gdzie Jed kładł właśnie dwa steki na grilla - którą z możliwości by pan wybrał, gdybym nie przestała się śmiać: potrząsanie czy policzek?

Spojrzał na nią kpiąco spod gęstych, ciemnych brwi, oparł się o jedną z szafek, z ramionami skrzyżowanymi na szerokiej piersi.

- Prawdę mówiąc, doszedłem do wniosku, że najlepiej podziałałby całus - wycedził z żalem. Rumieniec zażenowania pokrył jej policzki. I tyle jej przyszło z próby żartowania. - Ale po namyśle - dodał surowo - uznałem, że nie mogę całować nastoletniej matki, bez względu na prowokację!

Meg otworzyła szeroko oczy, słysząc ten opis.

- Jak pan sądzi, ile mam lat? Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Najwyraźniej dość, żeby mogła być pani legalnie matką tego dzie...  
Scotta - poprawił się.

Oparła dłonie na biodrach i przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

- Do pana wiadomości, panie Cole, mam dwadzieścia siedem lat - powiedziała ostro. - I z pewnością nie prowokowałam pana.

Zareagował przymrużeniem oczu na lekki nacisk, jaki położyła na słowo „pana”.

- Może zrobi pani sałatkę - polecił zwięźle, zanim sprawdził steki na grillu. - Jak człowiek zje coś gorącego, wszystko wygląda lepiej.

- To odnosi się do pana czy do mnie? - odpała Meg, idąc do lodówki po produkty do sałatki.

- Do obojga! - odpowiedział i odwrócił się, żeby spojrzeć na frytki.

Przyglądała mu się przez krótką chwilę. Dla żadnego z nich nie była to dogodna sytuacja. Podeszła do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. W świetle padającym z kuchni zobaczyła, że wiatr usypuje ze śniegu głębokie zaspy.

- Czy naprawdę nie ma sposobu, żebyśmy dziś stąd się wydostali?

Zorientowała się, że wypowiedziała te słowa głośno, kiedy Jed Cole cisnął nóż na kuchenny blat.

- Nie ma sposobu i nie ma mowy - warknął, z trudem panując nad sobą. - A jeśli chce pani dziś coś zjeść, sugeruję, żeby zrobiła pani wreszcie tę cholerną sałatkę.

Meg odwróciła się, gdy rzucił nóż, i przyglądając mu się czujnie, zajęła się przyrządzaniem sałatki.

- I niech pani tak na mnie nie patrzy - dorzucił ze zniecierpliwieniem.

Wyprostowała się.

- To znaczy jak?

- Jak mysz, która spodziewa się, że rozszarpie ją niedźwiedź, za którego wziął mnie z początku Scott. - Westchnął z rozdrażnieniem. - W porównaniu z moim normalnym zachowaniem teraz jestem grzeczny, jak jakiś cholerny kiciuś, rozumiano?

Meg przygryzła górną wargę, by ukryć śmiech. W tej chwili Jed wyglądał jak Scott na etapie koszmarnego dwulatka, ogromnie niezadowolony, że nie może postawić na swoim.

- Zrozumiano - przytaknęła łagodnie. - Życzy pan sobie sos do sałatki?

- Czy życzę sobie... - Zamknął oczy, zaczerpnął tchu dla uspokojenia, potem otworzył je i popatrzył gniewnie na Meg. - Meg Hamilton, kim pani jest, do diabła? I jaki przewrotny kaprys losu - warknął, zanim zdążyła odpowiedzieć - rzucił panią przed mój próg?

- Właściwie to była ściana pana domu - poprawiła miękko, mieszając składniki sosu musztardowego.

- Ale nie będziemy teraz spierać się o szczegóły - rzuciła wesoło.

- Odłożymy na później, tak? - mruknął. W niebieskich oczach, patrzących na nią z uwagą, pojawił się niechętny szacunek. - Jak to jest z pani matką? Wydawało się, że bardziej martwi się o kolację niż o to, czy nic się wam nie stało.

Kuchnia, tak nieduża, że ledwie mieli dość miejsca, by się po niej poruszać, nagle wydała się zbyt ciasna; Meg nie miała gdzie się schować przed przenikliwym spojrzeniem Jeda. Ponieważ miał rację.

Ani razu podczas tej krótkiej rozmowy matka nie zadała sobie trudu, by spytać, co zatrzymało Meg i Scotta, wygłosiła tylko uwagę, że jej siostra zdołała dotrzeć na czas, choć także wyjechała z Londynu, bo miała dość rozsądku, by jechać pociągiem.

Nie warto było zawracać sobie głowy wyjaśnianiem, że w przeciwieństwie do Soni, która prawdopodobnie w jednej eleganckiej torbie z naszywką znanego projektanta zmieściła wszystkie swoje prezenty, elegancko zapakowane w sklepach, w których je kupiła, Meg



musiała przywieźć ze sobą także prezenty, które Scott miał dostać od Świętego Mikołaja. Prezenty wybrane z miłością i własnoręcznie przez nią zapakowane - to były pierwsze święta Bożego Narodzenia, które trzyipółletni Scot naprawdę mógł docenić i na które się cieszył. Zdobyła się nawet na wynajęcie samochodu, żeby mogła zabrać ze sobą wszystkie pakunki.

Samochodu, który teraz stał sprasowany o ścianę domu.

Będzie musiała rano zadzwonić do wypożyczalni samochodów i wyjaśnić, co się stało, mając nadzieję, że ubezpieczenie pokryje koszty naprawy.

Jed stał, czekając na odpowiedź; zdobyła się więc na obojętne wzruszenie ramion.

- Matki już takie są - stwierdziła wymijająco.

- Przywiązują wielką wagę do żywienia swojej rodziny.

Może i byłaby to prawda, gdyby matka kiedykolwiek sama gotowała, ale od przyjścia na świat Meg, a prawdopodobnie i wcześniej, w kuchni Hamiltonów królowała pani Sykes. Bessie. Skóro jednak Jed Cole nigdy nie poznał jej matki, nie mówiąc już o spożywaniu posiłku z jej rodziną, nie musiał o tym wiedzieć.

- Jestem pewna, że pana matka jest taka sama - zakończyła.

Wyraz twarzy Jeda złagodniał nieco.

- Odkąd pamiętam, matka miała w domu tyle zapasów jedzenia, że mogłaby nakarmić dziesięcioosobową rodzinę, i często to robiła. A gdyby ich nie miała, wysłałaby ojca, żeby zabił krowę.

- Wydaje się bardzo miła - mruknęła melancholijnie Meg. Niemal była w stanie wyobrazić sobie ciepłą kuchnię i macierzyńską kobietkę, roztaczającą opiekę nad swoją rodziną.

- Jest taka - skinął głową Jed. - Tak samo mój tato. I dwaj młodszy bracia Oraz ich żony i niezliczone potomstwo, które spłodzili.

Meg obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Więc dlaczego nie spędza pan z nimi świąt, tylko... tutaj, samotnie? Wykrzywił usta.

- Może dlatego, że wolę samotność od mamy, taty, dwóch młodszych braci, ich żon i niezliczonego potomstwa.

Może. A może nie.

Z pewnością nie wyobraziła sobie, że złagodniał, kiedy mówił o swojej rodzinie, ani tego lekko tęsknego tonu w jego głosie. Nie miała jednak czasu, by dążyć dalej temat, gdyż wybuchnął nagle:

- Kobieto, może przestaniesz zarzucać mnie pytaniami i zaczniesz nakładać jedzenie?

Innymi słowy, koniec gadania o jego rodzinie.

Nadal jednak była ich ciekawa, i tego, czy mama, tata, dwaj bracia, ich żony i niezliczone potomstwo odczuwali smutek, ponieważ przy świątecznym stole zabraknie jednego z nich. Z niewiadomego powodu wydawało jej się, że tak jest.

Popełniasz błąd, Cole - napominał się w duchu Jed, przyznając jednocześnie, że sos do sałaty jest dokładnie taki, jaki lubił. Ale nigdy nie powinien był wspominać o całowaniu Meg. Bo teraz nie mógł oderwać oczu od jej ust. Przy tym były to przyjemne usta, z pełnymi wargami i uniesionymi kącikami, jak gdyby lubiła często się uśmiechać.

Jak teraz uśmiechała się do synka, który mężnie próbował uporać się ze swoim kawałkiem steku, frytkami i sałatką. I bez wątpienia była w pełni kobietą, nie dziewczyną, przyznał, pokpiwając z samego siebie - tylko osoba dorosła mogła udzielić tak dowcipnej odpowiedzi, na jaką zdobyła

się przed kolacją. O dojrzałości świadczyły także miękkie wznórki piersi pod ciemnozielonym swetrem, wyrzuconym na spłóviałe džinsy, oraz kragłość bioder. A jeśli chodzi o te pełne, kuszące usta...

Do diabła, nie powinien nawet wspominać o całowaniu jej, bo teraz nie mógł myśleć o niczym innym! To proste, ukrywał się tu od dwóch miesięcy, więc teraz gapił się na Meg Hamilton, jakby była butelką wody na pustyni. Albo kartonem lodów podczas upału.

- Nie smakuje panu jedzenie?

Jed spojrział na nią i nachmurzył się.

- Co?

Rzuciła mu zagadkowy uśmiech.

- Wpatrywał się pan gniewnie w swój stek, jak gdyby w jakiś sposób pana obraził - zażartowała.

- Bardzo śmieszne. Ha, ha.

Dobrze jej było się śmiać, to nie ona siedziała tutaj, opętana pożądlivymi myślami o kobiecie w opałach, która zjawiała się na jego progu w towarzystwie synka.

- Jedzenie jest w porządku - warknął szorstko. - Wszystko jest w porządku.

Jak gdyby chciał tego dowieść, nabił kawałek steku na widelec, wepchnął do ust i zaczął żuć.

Wiesz, Jed, może dobrze by było pokroić stek na mniejsze kawałki, pomyślał z pretensją, świadom, że zarówno Meg, jak i jej syn przyglądają się mu. Meg ukradkiem, Scott z całą otwartością dziecka.

- Niegrzecznie jest się gapić, Scott - napomniała go matka, gdy spostrzegła intensywność jego spojrzenia.

Chłopczyk odwrócił się posłusznie. Po chwili, kiedy matka nie patrzyła, znowu wbił swoje zielone oczy w twarz Jeda. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie widział człowieka, który próbował za jednym zamachem zjeść połowę krowy.

- Panie Cole, dlaczego nie ma pan choinki? - spytał w końcu, marszcząc czoło.

Ach, więc to nie stek zaprzętał jego myśli.

- Ani ozdób? - Chłopczyk spoglądał teraz na niego z dezaprobatą. - My lubimy ozdoby, prawda, mamusiu? - I nie ma też kartek świątecznych - dorzucił, zanim matka zdążyła coś powiedzieć. - Z rudzikami. Lubimy rudziki, prawda? - Obdarzył matkę anielskim uśmiechem.

Jak na małego dzieciaka było z niego prawdziwie słodkie półdiabło, przyznał Jed, który zdołał w końcu przełknąć swój kawałek steku. Prawdę mówiąc, z tymi ciemnymi włosami, zielonymi oczami i piegami na nosku był miniaturową wersją swojej matki.

Dosyć tego.

Meg Hamilton, nawet bez takiego dodatkowego obciążenia, zdecydowanie nie była w jego typie.

Miał trzydzieści osiem lat i lubił, żeby jego kobiety były wysokie, wyrafinowane i starsze, zainteresowane tylko krótkim związkiem, jaki był skłonny proponować. Meg wyglądała na kobietę, której dziewczęce marzenia zniosły dość ciosów, i nie potrzebowała jeszcze jednego samolubnego drania, który zdruzgotałby je po raz kolejny.

- Mówiłam ci już - wyjaśniała po cichu synkowi - że nie każdy obchodzi święta Bożego Narodzenia.

- Obchodzi pan święta Bożego Narodzenia, panie Cole? - dopytywał się z całą niewinnością Scott.

- Cóż.... Tak. Zazwyczaj. Ale widzisz, ja właściwie tu nie mieszkam. Mieszkam w mieście, które nazywa się Nowy Jork. - Przewidział następne pytanie i odpowiedział na nie z góry. - Daleko stąd, w Ameryce. - A tam, bez wątpienia, będą na jego powrót czekać dziesiątki świątecznych pocztówek i prezentów.

Scott otworzył szeroko oczy, otoczone takimi samymi nieprawdopodobnie długimi rzęsami, jakie miała jego matka.

- Więc dlaczego jest pan tutaj, a nie tam?

Zupełnie jak jego matka, stwierdził ze zniecierpliwieniem Jed. Też zadała mu to pytanie przed kolacją.

Różnica polegała na tym, że człowiek nie czuł się dobrze, zbywając takiego miłego dzieciaka jak Scott lub okłamując go.

Jednakże w tej chwili Jed nie miał ochoty wyjawić małemu prawdy. Zwłaszcza że po twarzy Meg nie było widać, by go rozpoznała, gdy jej się przedstawiał. Nie wiedział, gdzie Meg podziewała się przez ostatnie dziewięć miesięcy, kiedy atak na jego prywatność przerodził się w taki koszmar, że musiał wyjechać do Anglii i ukryć się w tym domku, aby znaleźć spokój i ciszę, konieczną do pracy. Choć nie można powiedzieć, by pracował. W każdym razie... niezbyt wiele. Ale lepsza taka ucieczka od nieproszonego uznania niż żadna.

- Scott, myślę, że jak na jeden wieczór dość już zawracaliśmy głowę panu Cole'owi. - Meg zręcznie ruszyła mu na odsiecz, gdy nic nie odpowiedział.

- Pora na kąpiel i łóżko.

- Ale mamusiu, jutro w nocy przychodzi Mikołaj - zaprotestował malec.

Uśmiechnęła się.

- Dodatkowy powód, żebyś dobrze się wyspał. Pomożemy panu Cole'owi posprzątać, a potem napełnię ci wannę ... - Urwała i zerknęła na Jeda z ironią. - Sądzę, że jest tu gorąca woda?

Skinął głową.

- I coś w rodzaju prysznic. - Wstał. - Będą pani potrzebne bagaże z samochodu?

Niezbyt cieszyła go perspektywa wychodzenia w śnieżyce, ale nie sądził też, że to dobry pomysł, by Meg wędrowała po tym domu na golasa. Mogłoby to być nawet przyjemne, ale biorąc pod uwagę jego wcześniejsze myśli o krągłości jej bioder i ciepłej miękkości ciała, prawdopodobnie nie byłoby to najszcześniejsze rozwiązanie.

Prawdę mówiąc, udzielenie tej niezwyklej parze gościny pod swym dachem też najlepszym pomysłem nie było, ale żadne z nich nie miało wyboru, więc będzie musiał jakoś dać sobie radę. Włączając w to dostarczenie Meg nocnej koszuli.

- Proszę - skinęła głową. - W bagażniku jest tylko jedna walizka.

- Podróż z tak niewielkim bagażem? - Uniósł ciemne brwi, wspominając te wszystkie rupiecie dla dzieci, które jego bratowe zawsze zdawały się taszczyć ze sobą.

- Zostaniemy u moich rodziców tylko do drugiego dnia świąt, na rozdanie prezentów od Świętego Mikołaja - odpowiedziała Meg, zbierając talerze. Jednocześnie starannie unikała jego wzroku.

- Chcemy zobaczyć babcię i dziadziusia - oznajmił wesoło Scott.

- Rozumiem - skinął głową Jed. Zorientował się, że mimowolnie uśmiecha się do chłopczyka.

- Zna pan babcię i dziadka? - Scott popatrzył na niego z nadzieją.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie spotkałem ich nigdy.

- Scott. Już czas, żebyś...

- Ja też nie. - Scott odezwał się jednocześnie z matką, na jego buzi pojawił się wyraz zadumy.

Scott miał co najmniej trzy lata, może nawet więcej, a jednak twierdził, że nigdy nie spotkał się z własnymi dziadkami. Mógłby zrozumieć to zaniedbanie w przypadku dziadków ze strony ojca, ale nie rodziców matki! Jakimi ludźmi musieli być Hamiltonowie, że nigdy nie poznali własnego wnuka?

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Mogę wejść? - Meg przystanąła z wahaniem na progu salonu.

Przed chwilą położyła Scotta do łóżka w pokoju gościnnym - na szczęście było to łóżko podwójne, które mogła dzielić z synkiem. Scott sypiał bardzo niespokojnie i nie była zachwycona perspektywą tych wszystkich kopniaków, które będzie musiała znieść w ciasnej przestrzeni pojedynczego legowiska.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli pan jest zajęty, mogę....

- Co pani może? - wypalił drwiąco Jed, wyciągnięty w fotelu. Jednak odłożył książkę, którą przeglądał. - W tym domku ma pani bardzo ograniczony wybór.

Rumieniec pokrył jej policzki. Czowała się dziwnie nieswojo, przebywając sam na sam z tym zagadkowym mężczyzną. Choć Scott miał dopiero trzy lata, jego obecność stanowiła barierę pomiędzy dwojgiem

dorosłych ludzi, prawie uniemożliwiając im rozmowę na tematy osobiste. Teraz to się zmieniło.

Zwłaszcza po wcześniejszej uwadze Scotta na temat jego dziadków.

Wolałaby raczej nie rozmawiać o swoich rodzicach czy raczej o swojej rodzinie.

Skrzywiła się.

- Cóż, mogłabym posprzątać w kuchni.

- Wszystko już zrobione - oznajmił ironicznie, jak gdyby przewidział, co zamierzała zrobić i uprzedził ją. - Ogólnie rzecz biorąc, w domku są tylko podstawowe urządzenia, ale jest tu zmywarka do naczyń, pralka i, co najdziwniejsze ze wszystkiego, centralne ogrzewanie.

Meg zdążyła już zauważyć, że jest tu ciepło, a płonące w kominku polano było tylko ozdobą, nie sposobem ogrzewania.

- Czy to wszystko było tutaj, gdy kupował pan dom, czy też zainstalował je pan później?

Wsunęła się głębiej do pokoju. Ten mężczyzna budził w niej skrępowanie, świadczyła o tym bezsensowność jej paplaniny.

Nie było w tym nic dziwnego. Jed Cole należał do tych mężczyzn o mrocznej urodzie, którzy są w stanie przyprawić każdą kobietę o przyspieszone bicie serca.

Potrząsnął głową.

- Nie jestem właścicielem domu, należy do... mojego przyjaciela - zakończył gwałtownie. - Po prostu zatrzymałem się tu na jakiś czas.

- Pracuje pan w tej okolicy? Zagłębił się w fotelu.

- Nie.

Zerknęła na niego, niepewna, czy także powinna usiąść; chyba nie, jeśli mieli zamiar nadal ciągnąć tę koszmarnie sztywną rozmowę.



- Może ma pan tu znajomych?

Skrzywił się.

- Nie. Teraz moja kolej - powiedział stanowczo.

- Dlaczego Scott nie poznał dotąd pani rodziców?

Większość ludzi, większość uprzejmych ludzi nie kontynuowałoby tego tematu. Ale Jed Cole nigdy nie próbował być uprzejmy, dlatego więc miałby teraz podjąć taką próbę?

- Zamierzałem nalać sobie czerwonego wina - ciągnął nonszalancko.

- Przyłączy się pani do mnie? - Wstał, starając się ominąć ciemne belki na suficie.

Powinna wiedzieć, że nie mógł być właścicielem tego domu. Równie dobrze można by próbować wcisnąć okrągły kołek do kwadratowego otworu; po prostu tu nie pasował.

- Może będzie pani w stanie wymyślić odpowiedź na moje pytanie, kiedy ja pójdę po wino - powiedział kpiąco, gdy oboje stali przez chwilę nieruchomo w drzwiach.

O wiele za długo dla spokoju ducha Meg; z każdą upływającą minutą coraz silniej reagowała na tego mężczyznę. To nie miało sensu. Wbrew temu, co ten facet mógł sobie myśleć - ponieważ miała synka - nie wdawała się w krótkie, niezobowiązujące romanse. Nawet z atrakcyjnymi mężczyznami napotkanymi podczas zamieci.

Z niechęcią musiała też przyznać, że nie znalazła zadowalającej odpowiedzi na jego pytanie.

Cóż, właściwie ją znała, ale nie mogła jej udzielić, nie rzucając cienia na rodziców. A nie sądziła, by na to zasługiwali. Niełatwo im było zaakceptować pojawienie się na ich progu córki wraz z nieślubnym wnukiem. I nigdy tego nie zrobiła.

- Proszę bardzo. - Jed wrócił z dwoma kieliszkami i otwartą butelką czerwonego wina. - Wymyśliła pani już odpowiedź? - zakpił, nalewając wino do kieliszków. Podał jeden z nich Meg. - Może byśmy usiedli, hmmm?

Jeśli próbował ją uspokoić, to mu się nie udało.

- Nadal próbuje pani wymyślić odpowiedź?

- W tym kraju zwykle nie interesujemy się prywatnym życiem innych.

Patrzyła na niego surowo, takim wzrokiem zwykle poskramiała Scotta, ale mężczyzna uśmiechnął się tylko. Wzruszył szerokimi ramionami, bez cienia skruchy.

- To nie są normalne okoliczności.

Istotnie. Bo w normalnych okolicznościach samotna matka, jak Meg, nie zostałaby nawet zauważona przez mężczyznę, który prawdopodobnie czułby się swobodniej z wyrafinowaną mieszkanką Nowego Jorku. To przywoływało pytanie, które wcześniej zadał Scott - dlaczego Jed był tutaj, a nie w Nowym Jorku?

- W takim razie - przerwała i upiła łyk wina - może zechciałby mi pan wyjaśnić...

- O nie, Meg - wtrącił kpiąco, przyglądając się jej leniwie spod opuszczonych powiek. - Zadałaś już dość pytań jak na jeden wieczór. A może chcesz, żebym powtórzył pytanie?

- To nie będzie konieczne - warknęła.

- Czekam, Meg - ponaglił ją cicho po chwili, gdyż siedziała w milczeniu, z zaciśniętymi wargami.

W równym stopniu denerwowało ją to, że zwracał się do niej po imieniu, jak i jego upór. Chociaż w tych okolicznościach śmieszne byłoby upieranie się przy zachowaniu formalności.

- Musiałbyś znać moich rodziców, by zrozumieć.

- Tak, mogę w to uwierzyć - wycedził pogardliwie.

- Mój ojciec był chory.

- Ile lat ma Scott? - spytał z niechęcią.

- Trzy i pół roku. Ale...

- Twój ojciec chorował przez trzy i pół roku? - w jego głosie dźwięczało niedowierzenie.

- Oczywiście, że nie - warknęła. - Ja po prostu... Nasi rodzice są po sześćdziesiątce.

- Nasi? - podchwycił, marszcząc brwi. - Masz rodzeństwo?

- Siostrę.

- Starszą czy młodszą? - naciskał.

- Starszą. Ledwo, ledwo - dodała z westchnieniem. Wiedziała, że zaskoczyła go, gdyż otworzył szerzej oczy.

- Masz siostrę bliźniaczkę?

- Skąd takie zdumienie? - Teraz to ona kpiła.

- Podobno każdy ma gdzieś w świecie sobowtóra, tak się złożyło, że moim sobowtórem jest siostra.

Zmarszczył brwi.

- Jesteście identyczne?

- Tak - potwierdziła pogodnie. - A przynajmniej, byliśmy - dodała powoli.

- Albo jesteście identyczne, albo nie - stwierdził kpiąco.

Najwyraźniej nie można go było na dłużej speszyć.

- Jesteśmy - potwierdziła szybko. Nie było sensu wspominać, że Sonia dała sobie wybielić zęby i zrobić koronki, zmniejszyła liczbę piegów na nosie i chodziła opalona przez cały rok. - Ale Sonia ma krótkie włosy i jest... cóż, jest prawnikiem. Ja jestem typem artystycznym. - Westchnęła. - Jestem dekoratorem wnętrz - wytłumaczyła, bo miała wrażenie, że przyglądał się jej dłoniom, szukając śladu farb.

- No, no. - Wychylił się nieco z fotela, tuląc kieliszek z winem w smukłych, delikatnych dłoniach.

- Powoli zaczyna wyłaniać się obraz - powiedział łagodnie.

Rzuciła mu spłoszone spojrzenie.

- Doprawdy?

- Nie najmłodszym rodzicom rodzą się bliźniaczki, jedna praktyczna i ambitna, druga wrażliwsza, z wyobraźnią. Starsza osiąga sukces zawodowy jako prawniczka, zawiera odpowiednie małżeństwo... Jest mężatką? Tak myślałem - wycedził, gdy Meg skinęła głową. - Bezdzienna, jak podejrzewam; ma jeszcze dużo czasu na dzieci, o ile w ogóle będzie je miała. Z kolei okazuje się, że młodsza ma talent artystyczny, zamiast uniwersytetu wybiera wyższą szkołę sztuk pięknych w Londynie, wreszcie wyrusza w świat, tylko po to, aby zająć w ciąży...

- Sądzę, że powiedział pan dosyć, panie Cole - przerwała mu gwałtownie Meg i odwróciła się nieco, by nie zobaczył lśnienia łez w jej oczach. Zbyt wiele łez wylała przez lata z powodu swojej rodziny, nie musiała dodatkowo załamywać się przy tym mężczyźnie.

Jed Cole spojrzał na nią z namysłem.

- Zgadłem, prawda?

Aż za dobrze. Choć nie we wszystkim miał rację.

- Hej, nie przejmuj się tak - skarcił ją drwiąco. - Ja też jestem kaczątkiem wśród łabędzi. Dziadek był farmerem, ojciec jest farmerem, i moi dwaj bracia są farmerami.

- A pan, panie Cole, kim pan właściwie jest? - spytała wyzywająco, nadal zirytowana tą rozmową.

- Cóż, z pewnością nie jestem farmerem - zapewnił ją żartobliwie. Wiedziała o tym, te silne, smukłe dłonie nie należały do człowieka, który obrabiał pole lub pasał bydło. No, może w młodości, ale nie przez ostatnie dwadzieścia lat. - Nie rozmawiamy jednak o mnie.

- Ani o mnie. - Meg upiła trochę wina i odstawiła prawie pusty kieliszek na stół. - Zaoferowanie Scottowi i mnie schronienia na noc nie uprawnia pana do wygłaszania komentarzy na mój temat czy mojej rodziny.

- Nie? - zadrwił, stawiając kieliszek na pokrytej wykładziną podłodze. Wstał powoli. - Więc do czego mnie uprawnia? - spytał wyzywająco. Jego oczy zmierzyły ją powoli, od stóp do czubka głowy, zanim spoczęły z namysłem na pełnych wargach.

Z jakiegoś powodu próbował wyprowadzić ją z równowagi. I udało mu się. Ze zdenerwowaniem zaczerpnęła tchu.

- Do najszczerzych podziękowań - warknęła.

Skłonił głowę.

- Już je złożyłaś. Kilka razy - wycedził.

Oczy rozbłysły jej gniewem.

- Które złożyłam kilka razy - zgodziła się z napięciem. - A teraz, jeśli pan wybaczy... - Schyliła się po torebkę leżącą na podłodze. - To był trudny dzień i jestem bardzo zmęczona.

- Och, wybaczę ci, Meg - oznajmił z kpina w głosie. - Jestem pewien, że większość mężczyzn wybaczyłaby ci wszystko.

Zacisnęła usta.

- Dobranoc, panie Cole - powiedziała stanowczo i odwróciła się.

- Dobranoc, Meg - zawołał za nią drwiąco.

Jej ramiona zeszywniały lekko, ale nie zwolniła. Zaczęła oddychać dopiero wtedy, gdy drzwi zamknęły się za nią, a ona sama znalazła się w połowie korytarza.

Jed Cole był niegrzeczny. Napastliwy. Ironiczny. Nie do zniesienia.

Jednocześnie był jednym z najbardziej przystojnych mężczyzn, jakich widziała. I zbyt seksowny, by wyszło mu to na dobre.

- Co ty wyprawiasz?

Jed podniósł głowę, by spojrzeć na rozwścieczoną Meg, kroczącą ku nim po śniegu.

Coś wyprowadziło ją z równowagi, to pewne, i wydawało się, że to on jest winowajcą. Ale nie miał pojęcia, co takiego mógł zrobić: pierwszy raz widział ją tego ranka na oczy.

A jeśli chodziło o to, czym zajmowali się ze Scottem, to z pewnością dwie wielkie kule śniegowe,

położone jedna na drugiej, z większą na spodzie, mówiły same za siebie. W tej chwili jednak był skłonny ją udobruchać.

- Lepimy bałwana.

- Widzę - warknęła wściekle. - Ale nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyś mnie obudził i powiedział, co robicie?

- Dlaczego? - Jed przyglądał się jej drwiąco. - Też chcesz lepić bałwana? - Skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na nią z góry.

- Nie, oczywiście, że... - przerwała gniewną ripostę i rzuciła mu rozeźlone spojrzenie. - Ty...

- Naprawdę, powinnaś włożyć czapkę i płaszcz, zanim wyszłaś na dwór. - Zmarszczył czoło. Meg zaczynała już dygotać, gdyż chłód przenikał przez czerwony pulower i dżinsy, które miała na sobie. - Ja upewniłem się, że Scott jest odpowiednio ubrany, zanim pozwoliłem mu wyjść z domu.

- Czyż nasz bałwan nie jest wspaniały, mamusiu? - Rozentuzjasmowany chłopczyk był tak pokryty śniegiem, że też wyglądał jak bałwan. Upierał się, że sam będzie toczyć wielkie kule, dopóki nie stały się dla niego za ciężkie i musiał go zastąpić Jed. - Jed mówi, że ma stary kapelusz i szalik, w które możemy ubrać bałwana.

- Pan Cole, kochanie - poprawiła go Meg z pewnym roztargnieniem, bo zajęta była otrząsaniem śniegu z jego ubrania.

Scott wykrzywił buzię, ledwo widoczną między wełnianą czapką i szalikiem.

- Ale, mamusiu, on powiedział, że mogę mówić do niego „Jed” - sprzeciwił się z całą naiwnością dziecka. - Jed powiedział, że potrzebujemy też marchewki i węgielków na buzię bałwana.

Cole zauważył, że Meg zacisnęła usta, słysząc jego imię po raz drugi w przeciągu kilku minut. Wyczuł, że bez jego interwencji może zaraz dojść do wybuchu.

- A może mamusia i ja pójdziemy po nie do domu? - rzucił lekkim tonem. - Jeśli chcesz, możesz poszukać w tej stercie drewna małych gałązek na ręce - dodał, gdyż chłopczyk wyglądał na zasmuconego, że nie chcą go wziąć ze sobą.

- Super! - Scott uśmiechnął się szeroko i pognął w kierunku sterty drewna, całkowicie odporny na zimno, które sprawiało, że Meg zaczęła szczerkać zębami.

Jed uniósł ciemne brwi i spojrzał na wciąż nachmurzoną Meg.

- Idziemy? - Wskazał ręką dom.

Zacisnęła usta.

- Tak będzie najlepiej - mruknęła niechętnie, odwróciła się i tupiąc weszła do środka.

Podążał za nią wolniejszym krokiem, pewien, że nie byłaby zadowolona, widząc, jakim wzrokiem obrzuca jej biodra i pośladki pod obcisłymi dżinsami. Zdażyli dojść do kuchni, zanim znowu zwróciła się do niego.

- Nie pozwalam Scottowi spoufalać się z dorosłymi - powiedziała stanowczo.

- To dobrze - skinął głową. - Też nie jestem zwolennikiem spoufalania się z dorosłymi. - Chociaż nie mógł gwarantować, że w stosunku do Meg zdoła długo przestrzegać tej zasady. Wiedział, że to banał, ale w złości była naprawdę piękna. Oczy jej lśniły niczym szmaragdy, policzki zarumieniły się, nawet jej wargi zdawały się bardziej czerwone. I bardziej godne pocałunku.

- Dobrze wiesz, co chciałam powiedzieć - wypaliła sfrustrowana. - I coś ty sobie myślał, wychodząc z nim na dwór?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O to, że obudziłam się, zobaczyłam, że Scott zniknął i żadnego z was nie mogłam znaleźć w domu. - Aż zeszywniała z wściekłości. - Gdybym nie usłyszała śmiechu Scotta, nie wyjrzała przez okno i nie zobaczyła was obu, mogłabym pomyśleć...



- Co? - wtrącił chłodnym tonem. - Co mogłabyś sobie pomyśleć? Że z nim uciekłem? Bo jeśli taka myśl mogła przyjść ci do głowy, to ja...

- Chodzi o to, że obudziłam się i zobaczyłam, że jestem sama.

- Człowiek zawsze odczuwa wtedy rozczarowanie - wycedził, znowu się rozluźniając.

Meg skarciła go wzrokiem.

- Mówisz o sobie, oczywiście.

- Oczywiście - mruknął z ironią.

- Hmm... - Przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

- W każdym razie, obudziłam się i Scotta ze mną nie było. Nie było też jego ubrania. Szukałam go w domu i przekonałam się, że ciebie też nie ma. Pomyślałam... cóż, pomyślałam, że Scott musiał się obudzić, nie wiedział, gdzie jest i po prostu... gdzieś sobie poszedł.

Że poszedłeś za nim. I że obaj zabłądziliście w śniegu. A potem usłyszałam śmiech Scotta. - Zwalczyła chęć płaczu. - A kiedy wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak beztriosko lepicie bałwana, to... nie byłam już przestraszona, tylko zła.

- I wybiegłaś z domu gotowa rozedrzeć mnie na strzępy. Nie wpadniesz chyba znowu w histerię, co?

- Przyglądał się jej czujnie. To było całkiem prawdopodobne, zważywszy na jej paplaninę; wyrzuciła z siebie więcej słów przez ostatnie pięć minut niż podczas całej ich znajomości. - Pamiętasz, czym ci zagroziłem, gdy ostatni raz dostałaś ataku hysterii?

Rumieniec, który nagle zalał jej policzki, dowodził, że pamiętała.

- Oczywiście, że nie wpadnę w histerię - zaprzeczyła z naciskiem.

- Nie? - No cóż, nie musiała zaprzeczać z takim przekonaniem. Nie był pewien, czy jego miłość własna to zniesie. Do diabła, kobiety zwykle

nie okazywały w tak oczywisty sposób, że za wszelką cenę pragną uniknąć jego pocałunku.

No i kto teraz zachowywał się irracjonalnie? Był zły, że kobieta, od której powinien trzymać się z daleka, chciała tego samego.

- Wyrosłam z hysterii dawno temu.

- Naprawdę?

- Tak. - Skinęła głową. - A później... Co robisz? - Złapała oddech, gdy położył jej dłonie na ramionach. - Nie musisz mną potrząsać. -

Podniosła na niego niewinne oczy. - Mówiłam ci, że...

To, co chciała powiedzieć, zostało zdławione, gdy

Jed pochylił głowę i ją pocałował. Pragnął to zrobić od minionej nocy. Jej usta były miękkie i chłodne. Przekonał się jednak, że ich chłód był skutkiem zimna panującego na dworze, gdyż wkrótce rozgrzały się kusząco. Nie potrzebował innej zachęty, jego ramiona otoczyły cienką talie Meg, dopasowując jej okągłości do jego ciała, jej drobne dłonie spoczęły na jego ramionach, gdy przytuliła się do niego.

- Mamusiu, znalazłaś marchewkę i... Och.

Meg, najwyraźniej wyczulona na głos synka, odzyskała przytomność umysłu o wiele szybciej niż Jed. Odsunęła się szybko i odwróciła do Scotta, który stał w drzwiach z otwartymi ustami i przyglądał się im z zaciekawieniem.

- Nie, jeszcze nie - głos Meg drżał lekko. - My... Wpadło mi coś do oka i pan Cole, Jed, starał się to wyjąć - skłamała tak gładko, że Jed też zagapił się na nią jak urzeczony.

„Wpadło jej coś do oka”, akurat, łypnął na nią groźnie. Choć może jej wersja była lepsza od powiedzenia Scottowi, że Jed wpijał się w usta jego matki z pożądaniem, które szybko wymykało się spod kontroli.

Co on sobie myślał, do diabła? Rzecz w tym, że wcale nie myślał, tylko czuł.

- Marchew jest w lodówce, a węgiel w wiadrze w salonie - wychrypiał, kiedy Meg pochyliła się, żeby syn mógł zobaczyć, że nie ma już w oku tego wymyślonego „czegoś”.

Zwróciła ku Jedowi pobladałą z napięcia twarz.

- Dokąd idziesz? - spytała, gdy ruszył ku drzwiom.

- Na dwór - syknął ostro. Zmrużyła oczy.

- Dokąd?

- Po prostu na dwór! - Nie miał w gruncie rzeczy pojęcia, dokąd idzie, wiedział tylko, że na jakiś czas musi znaleźć się daleko od Meg.

I spróbować wyrzucić z pamięci jej dotyk i smak.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jeśli chcecie jechać, to główne drogi są już oczyszczone.

Meg, grająca ze Scottem w karty, spojrzała na Jeda z zaskoczeniem. Nie słyszała, jak wszedł do domu.

Nie było go ponad godzinę. Tymczasem pomogła Scottowi dokończyć bałwana, zrobiła synkowi śniadanie i zaparzyła dla siebie filiżankę kawy, wreszcie usiadła, by zagrać z nim w odkrywankę.

Ale przez cały czas nasłuchiwała, czy Jed Cole nie wraca. Nie wiedziała, co mu powiedzieć po tym, co między nimi zaszło; wspomnienie pocałunku wciąż było żywe w jej pamięci. Wiedziała tylko, że czuła się mniej samotna, gdy był w pobliżu.

To oczywiste, że w jego obecności nie była samotna. Ale chodziło o coś więcej: Jed odznaczał się arogancką pewnością siebie, tupetem, który sprawiał, że czuła, iż przy nim nie może zdarzyć się nic złego.

Poza tym, że mógłby znowu ją pocałować.

Gdy zaczął to robić, była tak zaskoczona, że mogła tylko odpowiedzieć na jego pocałunek. Kiedy pierwsze zaskoczenie minęło, poczuła, że sprawia jej to zbyt wielką przyjemność, by chciała położyć temu kres.

Nie bardzo wiedziała, co powinna o tym wszystkim myśleć, skoro znała tego mężczyznę mniej niż dobę.

Pewne było, że odczuwała wstyd na samą myśl, że ma stanąć z nim twarzą w twarz.

Ale teraz wrócił i mówił jej, że czas, aby ona i Scott wynieśli się stąd.

- Graj dalej, Scott - powiedziała cicho do syna.

- Chcę tylko powiedzieć słówko panu... Jedowi - poprawiła się szybko, gdy mężczyzna rzucił jej chmurne spojrzenie.

Wyszła za nim na korytarz, nakazując sobie surowo w duchu, że ma zapomnieć o tym, co zaszło wcześniej między nimi, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli to zrobi.

- Jakie słówko miałaś na myśli? - wycedził z ironią. - Facet bez zasad? Rozpustnik? A może coś jeszcze gorszego? - wyraził grymasem pogardę, którą czuł do siebie.

- Nie, oczywiście, że nie - warknęła niecierpliwie.

- Powiedziałeś, że możemy jechać? Czy to znaczy, że mimo wszystko będę mogła zadzwonić do warsztatu samochodowego?

- To znaczy, że dotarłem na piechotę do głównej drogi i z powrotem.

- Naprawdę? - westchnęła.

- Naprawdę - wycedził. - I było cholernie ślisko. Ale myślę, że dam radę przejechać moim rangeroverem jakieś pół mili tą dróżką, a potem będzie główna droga, już odśnieżona. Więc chyba zdołam przewieźć was aż do domu twoich rodziców.

Meg otworzyła szeroko oczy, słysząc te słowa.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł - zaprotestowała bez zastanowienia. Rumieniec pokrył jej policzki, gdy Jed uniósł pytająco brwi. - To znaczy, nie mogę sprawiać ci tylu kłopotów.

- A dalszy pobyt twój i Scotta w moim domu to nie kłopot?

No cóż, jeśli tak stawiał sprawę...

- Nie zamierzałam dłużej tu zostawać - odparowała ostro, przyjmując do wiadomości, że ona i Scott prawdopodobnie stanowili dla niego źródło kłopotów od chwili, gdy się tu pojawili.

Choć wcześniej wydawało się, że dobrze dogadywał się ze Scottem. Ale to było, zanim ją pocałował, przypomniała sobie. I prawdopodobnie bardzo tego żałował, skoro gotów był narazić się na podróż w tak trudnych warunkach, by się jej pozbyć.

Zmarszczyła czoło.

- Ale jeśli główna droga jest odśnieżona, może uda mi się zamówić taksówkę.

- Możesz zejść na ziemię, Meg? - warknął ze zniecierpliwieniem. - Te pół mili do głównej drogi to niemal pewne samobójstwo, a chociaż trasa jest odśnieżona, meteorolodzy przewidują dzisiaj dalsze opady śniegu.

- Naprawdę? - jęknęła przerażona.

- Tak - potwierdził z przekonaniem. - Ja widzę to tak: w tej chwili mamy chwilową poprawę pogody, podczas której mogę spróbować zawieźć ciebie i Scotta do rodziny, byście byli w domu na Boże Narodzenie. Zdecyduj się.

Musiała się zgodzić. Problem w tym, że nie spieszyło jej się już tak bardzo do domu rodziców, odkąd wiedziała, że będą tam również Sonia i Jeremy.

Przełknęła ślinę.

- Nie chcę narażać nas na niebezpieczeństwo tylko po to, by uniknąć dłuższego czekania.

- Uwierz mi, grozi ci większe niebezpieczeństwo, jeśli tu zostaniesz, niż podczas tej dziesięciomilowej jazdy - warknął z autoironią.

Co chciał przez to...? Chyba nie miał na myśli...? Miał, miał, powiedziało jej to przeszywające spojrzenie jego oczu.

- Jeśli przeniesiesz prezenty dla Scotta z mojego samochodu do range-rovera, pójdę spakować nasze rzeczy - powiedziała spokojnie.

- Czuję, że tak zrobisz - wycedził; jego gardłowy śmiech towarzyszył jej, gdy szła na górę.

Cóż, nie najlepiej to rozegrała, prawda? Co prawda nigdy nie miała pretensji do pozowania na kobietę chłodną i wyrafinowaną; po prostu nie była taka.

Och, chodziła na randki, zanim urodził się Scott, ale żaden z tamtych mężczyzn nie przygotował jej na kogoś takiego jak Jed Cole. Jeśli ktokolwiek mógł być przygotowany na takiego mężczyznę.

Był starszy, bardziej pewny siebie, w dodatku o wiele bardziej doświadczony od każdego z tych młodych ludzi, z którymi się umawiała.

Nie żeby chciała umawiać się z Jedem Cole'em, zakpiła z siebie w duchu. Ale pociągał ją, odpowiedziała na jego pocałunek, czuła przyjemność, gdy jej dotykał - nie wiadomo, dokąd mogło ich zaprowadzić pożądanie, gdyby Scott im nie przeszkodził.

Jednak dobrze, że to zrobił, skoro Jed zaproponował, że ich odwiedzie.

Samo w sobie nie było to idealne rozwiązanie. Po tym, co opowiedziała Jedowi o swojej rodzinie, o braku zainteresowania ze strony matki, o tym, że żadne z rodziców nie widziało jeszcze Scotta, o Soni, nie bardzo miała ochotę przedstawiać go komukolwiek z nich. Nie będzie jednak miała wyboru. Nie mogła oczekiwać, że po prostu zawróci samochód i pojedzie do domu. Musiała przynajmniej zaproponować mu coś gorącego do picia.

No dobrze, skoro i tak nie miała nic do powiedzenia, może nie była to zbyt wysoka cena za dotarcie do celu.

Chociaż pół godziny później nie była już tego taka pewna. Jed z trudem starał się ustrzec samochód przed ześlizgnięciem się z dróżki prosto w zaspę, zdenerwowana Meg siedziała obok niego w milczeniu, zaciskając zęby, tylko Scott nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Kilka minut temu zapadł w sen, najwyraźniej zmęczony lepieniem bałwana.

Kiedy wjechali na główną drogę, zauważyła, że podczas tej przerażającej jazdy tak mocno zaciskała dłonie, że paznokcie zostawiły zagłębienia w ich wnętrzu.

- Ufff - westchnęła z ulgą, szczęśliwa, że nie będzie musiała powtarzać tego doświadczenia.

Prawdę mówiąc, byłaby szczęśliwsza, gdyby spędzała święta w Londynie, tylko ze Scottem, jak zwykle. W dodatku nie miała wątpliwości,

że matka nie wystąpiłaby z zaproszeniem - nie robiła tego w minionych latach - gdyby ojciec ostatnio się nie rozchorował.

Dwa tygodnie temu przeżył atak serca, według matki dość łagodny, ale i tak nie powiadomiła Meg od razu, zadzwoniła dopiero w niedzielę - z nowiną i z zaproszeniem.

Nie mogła jej zrozumieć. Nigdy jej nie rozumiała. Ale jeśli Sonia była ulubienicą matki, Meg była córeczką tatusia, i czuła się głęboko zraniona, że matka nie zatroszczyła się, by wcześniej powiadomić ją o jego chorobie. Na jej uwagę odpowiedziała: „Nie mogłaś nic pomóc, więc nie było sensu cię niepokoić”.

Meg naprawdę była kaczątkiem wśród łabędzi, jak to określił ubiegłej nocy Jed. W dzieciństwie czasem zastanawiała się, czy naprawdę należy do tej rodziny. Gdyby nie siostra bliźniaczka, z pewnością by w to zwątpiła.

- Dojeżdżamy do Winston - chłodno stwierdził po jakimś czasie Jed.  
- Od tego miejsca będziesz musiała mnie pilotować.

Gdy powiedziała mu, że ma skrócić w prawo, poczuła, że wraca jej zdenerwowanie na myśl o tym, co ją czeka.

Dla dobra Scotta ta wizyta musiała się udać. Meg była bardziej niż chętna odegrać dobrze swoją rolę, jeśli tylko pozostali członkowie rodziny zrobią to samo. Bo jeśli zachowają się inaczej, będzie to bardzo krótka wizyta.

- Tutaj? - z niedowierzaniem wychrypiał Jed, gdy nakazała mu skrócić w lewo, na podjazd.

- Tak - potwierdziła beznamiętnym tonem.

Nie patrzyła na niego, ale czuła, że przez kilka długich chwil przyglądał się jej przymrużonymi oczami. Najprawdopodobniej



zastanawiał się, jakim cudem samotna matka w wynajętym samochodzie - uszkodzonym samochodzie, który firma wypożyczająca zgodziła się odholować, jak tylko poprawi się pogoda - podróżująca z jedną torbą, mieszczącą ubrania jej i Scotta, przeznaczone na krótki pobyt, mogła pochodzić z tak bogatej rodziny. Jego niedowierzanie mogłoby nawet wydać się jej zabawne, gdyby nie denerwowała się tak perspektywą stawienia im czoła. Och, od czasu do czasu miała kontakt z Sonią, gdyż obie mieszkały w Londynie, ale były to pełne skrepowania rozmowy, podczas których nie mówiły o niczym ważnym. Raz czy dwa razy - no dobrze, raz! - spotkała się z siostrą w kawiarni, kiedy Scott był w przedszkolu, ale nie mogła twierdzić, że sprawiło im to przyjemność, gdyż zbyt wiele spraw pozostało niedopowiedzianych.

Prowadziły też zupełnie odmienny tryb życia: Sonia z jej światowymi przyjaciółkami i domem na pokaz, Meg z zaprzyjaźnionymi młodymi matkami i często zabałaganionym mieszkaniem. Więc raczej nie miały szans spotkać się na gruncie towarzyskim.

Znowu poczuła na sobie wzrok Jeda, tak natarczywy, że nie mogła go zignorować.

- O co chodzi? - spytała zirytowana.

- Tu się wychowałeś? - rzucił z niedowierzaniem.

Meg spojrzała przez okno na dom, do którego się zbliżali. Była to wielka, czteropiętrowa rezydencja z kamienia, większa od budynku, w którym mieszkała - a mieściło się w nim osiem mieszkań.

- Tak - potwierdziła gwałtownie. - Słuchaj - dorzuciła z irytacją, gdyż jego milczenie niepokoiło ją - moja matka jest z domu Winston. Ta posiadłość od wielu pokoleń należała do Winstonów, od nich pochodzi

nazwa miasteczka, a kilkaset lat temu zbudowali tutaj ten dom. Moja matka była jedynaczką, więc odziedziczyła go, kiedy zmarli jej rodzice.

- Nie czułaś się samotna, mieszkając tak daleko od miasteczka? -  
Marszcząc brwi, przyglądał się posępnemu, bezludnemu krajobrazowi.

- Tak - potwierdziła. - Gdyby nie Sonia, byłabym bardzo samotna.

Po raz kolejny ten mężczyzna zaskoczył ją swoją spostrzegawczością. Zamrugła, aby powstrzymać łzy, wywołane okazanym jej zrozumieniem.

- A ty nie czułeś się samotny na farmie rodziców?

- Z dwójką młodszych braci i kuzynami, których trudno było zliczyć? - prychnął.

W uszach Meg brzmiało to cudownie, pragnęłaby, aby Scott miał takie dzieciństwo, ale wiedziała, że tak się nie stanie.

Nadal nachmurzony Jed zatrzymał samochód przed domem.

- Nic dziwnego, że postanowiłaś, że Scott nie będzie się tu wychowywał.

Meg zaśmiała się krótko, niewesoło.

- Uwierz mi, nie było takiej możliwości. - Jej matka ledwo pamiętała o urodzinach Scotta, a kiedy sobie o tym przypominała, prezentem od niej był zwykle czek, wsunięty do kartki z życzeniami - bardzo przydatny dla trzylatka.

Jed zacisnął usta.

- Nie sądzę, abym polubił twoją matkę.

Nie była wcale pewna, czy matka go polubi. W domu Hamiltonów było miejsce tylko dla jednego despoty, i bez wątpienia była nim matka.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Nie musisz zostać długo - zapewniła go ze współczuciem. - W gruncie rzeczy zrozumiem, jeśli w ogóle nie zechcesz do nas wstąpić.

- Żartujesz? - odparował kpiąco, wyłączając silnik. - Za nic bym tego nie odpuścił.

Nie była pewna, czy wyzywający błysk jego niebieskich oczu budzi w niej zaufanie, ale - mówiąc szczerze - zanadto była wdzięczna, że nie musi sama wkraczać do jaskini lwa, by podawać w wątpliwość jego motywy.

- Mamusiu, czy to dom babci i dziadka? - Jak należało się spodziewać, Scott obudził się, gdy umilkł kojący odgłos silnika.

Odwróciła się z uśmiechem, by dodać mu otuchy.

- Tak, kochanie.

Spoglądał szeroko otwartymi oczami na okazały budynek.

- Jest bardzo wielki, mamusiu - powiedział niepewnie.

- Nie będzie wydawał się taki wielki, kiedy znajdziesz się w środku - powiedziała z większą nadzieją niż przekonaniem.

Może powinna przygotować Scotta do spotkania z rodziną, ale jak wyjaśnić trzylatkowi, że jego babka potrafi zachowywać się jak oschły tyran, że dziadek jest zbyt delikatny, aby ją powstrzymać, a ciotka Sonia... Nie wiedziała nawet, jak zacząć opowiadać mu o ciotce Soni.

W rezultacie zbliżała się do wielkich dębowych drzwi frontowych z entuzjazmem skazańca wchodzącego na szafot.

- Rozchmurz się, Meg - zachęcił ją żartobliwie Jed, idąc obok niej po schodach. Najwyraźniej sam nie odczuwał trwogi. - Może nie będzie tak źle.

Nie miał o niczym pojęcia.

- Dzwonisz do drzwi domu twoich rodziców? - spytał z niedowierzaniem.

- Cóż.... tak - skrzywiła się, pewna, że na farmie jego rodziców wszystko było o wiele swobodniejsze.

Słyszała teraz, jak za drzwiami obcasy stukają o kafelki holu; zacisnęła odruchowo rękę na dłoni Scotta, szykując się do spotkania z matką.

- Soniu, nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz... - głos matki zamarł, gdy po otwarciu drzwi stwierdziła swoją pomyłkę. - Margaret. - Spojrzała z niechęcią na Meg. - Zdawało mi się, że miałaś zatelefonować i uprzedzić, kiedy przyjedziesz?

- Miałam. I powinnam była zatelefonować. - Ale zupełnie o tym zapomniała, tak szybko opuszczali dom Jeda.

Zresztą matka nie potrzebowała ostrzeżenia, żeby usunąć usterki w swoim wyglądzie. Jak zwykle wyglądała nieskazitelnie: ciemne włosy wymuskane, makijaż i szminka nałożone, kremowy sweter z kaszmiru noszony do czarnej spódnicy idealnie podkreślał jej szczupłą figurę.

Meg zerknęła z zakłopotaniem na Jeda i lekko potrząsnęła głową, gdy samym tylko ruchem warg wymówił: „Margaret?”. Nie znosiła tego imienia od dzieciństwa, jako ośmiolatka, po przeczytaniu „Małych kobietek”, zdecydowała, że chce być nazywana „Meg”. I tylko matka nie chciała na to się zgodzić.

- Nie było czasu - wyjaśniła niezręcznie, zwracając się do matki. - Nie sądziłam...

- Obawiam się, że to ja zawiniłem, pani Hamilton - wtrącił gładko Jed, wysuwając się nieco, by zwrócić na siebie uwagę.

Jeśli sądził, że jej matka zmieni swoje zachowanie, czekało go rozczarowanie. Meg skrzywiła się, gdy matka przeniosła spojrzenie na Jeda; jej oczy stały się jeszcze chłodniejsze, a wyraz twarzy bardziej lodowaty, o ile to w ogóle było możliwe.

Boże, to było okropne. Marzyła, by ziemia rozstąpiła się i pochłonęła ją. Ale jak zaprogramowana przystąpiła do przedstawiania ich sobie.

- Jed, to moja matka, Lydia Hamilton. Mamo, to jest...

- Jerrod, Jerrod Cole - przerwał jej ostro, biorąc bezwładną rękę kobiety w swoją o wiele większą dłoń. - Miło mi panią poznać, Lydio - oznajmił szyderczo.

I nic dziwnego, pomyślała Meg, marszcząc czoło. Twarz jej matki zmieniła się, chłód zniknął z oczu, zastąpiło go niedowierzenie, lekka bladość okryła idealnie ukształtowane kości policzkowe.

- Ja... - Matka przełknęła ślinę, spoglądając niepewnie na Jeda, jak gdyby zbity z tropu. - Jerrod Cole, który napisał *Łamigłówkę*?

- Oczywiście, że nie...

- Pochlebia mi, że słyszała pani o mnie. - Jed gładko zagłuszył przeczenie Meg. Gapiła się na niego z niedowierzaniem.

Jerrod Cole. Jed był Jerrodem Cole'em?

Cóż, oczywiście, że matka słyszała o Jerrodzie Cole'u; prawdopodobnie słyszała o nim cały Zachód. Jego książka *Łamigłówka* od dziewięciu miesięcy utrzymywała się na liście bestsellerów i przystąpiono już do kręcenia filmu na jej podstawie. Ale Jed nie mógł być tym Jerrodem Cole'em.

Naprawdę nie chciał, aby Meg poznała prawdę w ten sposób. W ogóle nie zamierzał mówić jej, że jest pisarzem. Ale zachowanie Lydii Hamilton wobec córki tak go rozwścieczyło, że pragnął tylko usunąć z jej

zimnej twarzy wyraz chłodnego zadowolenia z siebie. I wydawało się, że najlepiej to osiągnie, mówiąc, kim jest.

Właściwie nigdy jeszcze nie znieubił nikogo od pierwszego wejrzenia; zwykle musiało upłynąć przynajmniej dziesięć minut. Jednak zachowanie Lydii Hamilton wobec Meg, to, że nawet nie spojrzała na Scotta, swojego wnuka, sprawiło, że miał ochotę potrząsnąć tą kobietą. I dokonał tego, zdradzając swoją tożsamość.

Zerknął na Meg i zorientował się, że była równie wstrząśnięta, jak jej matka, ale cała ta sytuacja nie sprawiła jej przyjemności. Patrzyła na niego, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

Szybko wypuścił dłoń Lydii Hamilton.

- Wolałbym jednak, aby myślała pani o mnie jako o przyjacielu Meg - dorzucił gładko.

- Przyjacielu... tak, oczywiście... - Wydawało się, że Lydia całkowicie straciła głowę.

- Może zaprosi nas pani do środka? - rzucił ostro. - Zaczyna robić się mokro na dworze. - Śniegowe płatki osiadały na ich włosach i od razu topniały.

- Oczywiście. - Cofnęła się, aby mogli wejść. Meg rzuciła mu kolejne gniewne spojrzenie i weszła do domu, mocno trzymając za rękę Scotta.

Jed spojrzał na zdezorientowanego chłopczyka i poczuł, jak jego gniew na Lydię Hamilton zmienia się w lodowatą wściekłość. Jak mogła pozostać tak obojętna wobec tego fajnego dzieciaczka? Scott wyglądał jak jego matka, i z pewnością pomimo maski chłodu Lydia Hamilton kochała swoją córkę. A może nie, uznał, spojrzawszy na nią ponownie.

Nie mógł jej sobie wyobrazić, jak siada na podłodze, aby pobawić się ze swoimi dziećmi, tak jak to robiła Meg ze Scottem.

Szybko otrząsnęła się z zaskoczenia, jej uśmiech znowu stał się chłodny.

- Proszę przejść do salonu, panie Cole, i poznać mojego męża Davida.

- Hej, spójrz, Scott, tu jest choinka!

Jed zauważył, że dolna warga chłopczyka drży lekko, pochylił się więc szybko, wziął go na ręce i przeciął przestronny hol, aby pokazać mu ustrojone drzewko. Opanowywał chęć uduszenia Lydii za tak bezduszne potraktowanie wnuka. Nie sądził, aby Meg ucieszyła się, gdyby udusił matkę na jej oczach.

Scott rozpogodził się na widok wysokiej choinki. Jego oczy zabłysły z zachwyty, gdy przyglądał się precyzyjnie rozmieszczonym ozdobom i lampkom.

Jed odczuł ulgę, że jego taktyka zadziałała, ale nadstawiał uszu na rozmowę, która toczyła się między dwiema kobietami.

- Uważam, że mogłaś mnie uprzedzić, Margaret - warknęła cicho Lydia. - Poczułam się ośmieszona, nie wiedząc, z kim mam do czynienia.

Meg nie spieszyła się z odpowiedzią, a kiedy się odezwała, wydawało się, że starannie dobiera słowa.

- Jed na ogół stara się zachowywać anonimowość - odpowiedziała w końcu.

- No cóż, mogę to zrozumieć, ale... co my z nim zrobimy? - w głosie Lydii znowu dzwięczało zdenerwowanie.

Jed gotów był się założyć, że nie zdarzało się to często.

- Nic. - Meg sprawiała wrażenie zaskoczonej tym pytaniem. - Jed nie zamierza...

- Lydio, kto dzwonił do drzwi? Meg!

Jed postawił Scotta na podłodze i odwrócił się na dźwięk męskiego głosu, w samą porę, by zobaczyć błysk szczęścia rozjaśniający bladą twarz Meg. Skoczyła ku mężczyźnie, który musiał być jej ojcem - wysoki, chudy, z oczami tak zielonymi jak u córki.

- Tatusiu - wykrztusiła ze wzruszeniem, mocno obejmując ojca.

„Tatusiu”, nie oficjalnie, jak zwróciła się do Lydii Hamilton, zauważył z satysfakcją Jed, zadowolony, że przynajmniej jedna osoba w tym domu ucieszyła się na widok Meg. Była to jednak krótkotrwała ulga, gdyż zaraz przypomniał sobie, że ten mężczyzna był tak samo winny zaniedbywania przez ostatnie trzy i pół roku córki i wnuka, jak jego żona.

Spojrzał krytycznie na starszego pana. David Hamilton był wciąż przystojnym mężczyzną o siwych włosach, z oczu i twarzy przypominał Meg, chociaż jego oblicze pokrywała niezdrowa bladość, pozostałość niedawnej choroby, a jego sweter i spodnie wydawały się zbyt luźne dla jego sylwetki, jak gdyby schudł ostatnio.

Spojrzał w dół, gdyż Scott pociągnął go za nogawkę spodni. Przykucnął, zauważywszy, że chłopczyk zerka nieśmiało na mężczyznę, którego obejmowała jego matka.

- Czy ten pan jest moim dziadkiem? - spytał głosem, który wydawał mu się przyciszony, mimo to słyszalny był w całym rozległym holu.

David Hamilton zeszywniał, odsunął lekko Meg od siebie i rozejrzał się w poszukiwaniu źródła tego głosu.

Jed odruchowo położył dłoń na ramieniu Scotta. Trudno mu było wcześniej znieść całkowitą obojętność okazywaną przez Lydię wnukowi;



teraz poczuł, że naprawdę mógłby zrobić krzywdę - nawet niedawno choremu człowiekowi - gdyby ten także zranił chłopca.

- Tak, Scott, jestem twoim dziadkiem - odezwał się łagodnie David Hamilton. Zbliżył się, nie odrywając wzroku od drobnej twarzyczki malca.  
- Mój Boże, wyglądasz zupełnie jak twoja mama w tym wieku - westchnął wzruszony. W wyblakłych zielonych oczach zabłyśły łzy, gdy pochylił się ku wnukowi.

- Naprawdę? - spytał podniecony Scott.

- Z całą pewnością - zapewnił go schrypniętym głosem dziadek. - Może pójdziesz ze mną, to pokażę ci kilka jej zdjęć, które trzymam w gabinecie? - Wyciągnął ramiona, zyskując aprobatę Jeda za to, że pozwolił, aby chłopczyk sam, bez zmuszania, podszedł do niego.

- Davidzie, nie sądzisz, że nie powinieneś się przemęczać...

- Czuję się doskonale, Lydio - uciął ostro protest żony, nie odrywając spojrzenia od wnuka. - Scott? - jego głos znowu złagodniał, gdy zachęcał malca, aby do niego podszedł.

Jed z zadowoleniem patrzył, że Scott zareagował na delikatność dziadka i znalazł się w jego ramionach. David wyprostował się i spojrzał na Jeda po raz pierwszy, jak gdyby dopiero go zauważył.

- Jerrod Cole, prawda? - Wyciągnął ku niemu wolną rękę.

- Tak. - Jed potrząsnął dłonią Davida, jej uścisk był pewny i silny. - Ale wolałbym, aby mówił pan do mnie Jed - dorzucił lekko.

- Ja jestem David - uśmiechnął się starszy mężczyzna. - Bardzo podobała mi się twoja książka. Nie mogę się doczekać następnej.

Po tej uwadze uśmiech znikł z twarzy Jeda.

- Dziękuję panu, właśnie nad nią pracuję.

- Proszę, mów mi po imieniu. Ostatnio miałem dużo czasu na lekturę - dorzucił z żalem.

- Davidzie, skąd wiedziałeś, że przyjaciel Margaret to Jerrod Cole? - spytała podejrzliwie Lydia.

Mąż popatrzył na nią ze spokojem.

- Rozpoznałem go z fotografii umieszczonej na okładce, rzecz jasna - wyjaśnił łagodnie, po czym zwrócił się znowu do Jeda: - Przyjmuję, że naprawdę potrafisz pilotować samolot, przy którym stałeś - zażartował.

Jed bez wysiłku odwzajemnił uśmiech.

- Potrafię.

- To dobrze. - Mężczyzna skinął głową. - Zabieram tego młodzieńca, żeby pokazać mu fotografie. - Rzucił ciepły uśmiech cierpliwie czekającemu Scottowi.

- Pójdę z wami - wtrąciła szybko jego żona.

- Naprawdę nie ma potrzeby, Lydio - zapewnił ją David lekko, ale z naciskiem, który kładł kres dalszej dyskusji. - Może byś zaprowadziła Meg i Jeda do salonu i zaproponowała im coś do picia - łagodnie, lecz stanowczo przypomniał żonie o zasadach dobrego wychowania.

Nagły rumieniec, który pokrył policzki Lydii, gdy jej mąż oddalał się ze Scottem, dowodził, że nie była zadowolona z tego rozwiązania, jednocześnie nie miała wyboru i musiała się podporządkować.

- Margaret, może byś zaprowadziła pana... Jeda do salonu, a ja zajmę się przygotowaniem jakiegoś poczęstunku przed lunchem. - Nie czekała na odpowiedź i odeszła.

Od kilku minut Jed starannie unikał spojrzenia na Meg. Najpierw dlatego, że czuł się jak intruz, będąc świadkiem jej wzruszającego spotkania z ojcem, a potem nieustannie czuł na sobie jej oskarżycielski

wzrok. Najwidoczniej ostatnie wydarzenia nie złagodziły jej gniewu z powodu jego dwulicowości. Wiedział, że skoro znaleźli się sam na sam, usłyszy zaraz coś na ten temat.

Westchnął.

- Meg, najwyraźniej nie możesz doczekać się, by powiedzieć, co o mnie myślisz, ale może najpierw mnie wysłuchasz?

- Jesteś Jerrodem Cole'em - oskarżyła go gwałtownie, jakby ten fakt unieważniał wszystko, co miał do powiedzenia na swoją obronę.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - skrzywił się. - Ale jestem także Jedem Cole'em. I to Jeda spotkałaś wczoraj...

- To jedna i ta sama osoba - przerwała mu z irytacją.

- Niezupełnie. Ja... - urwał, gdyż drzwi wejściowe otworzyły się nagle. Podmuch zimnego powietrza i śniegu zwiastował pojawienie się dwojga osób.

Drobna kobieta ubrana w długie białe palto i dobraną do niego czapkę, z twarzą zarumienioną z zimna, odpowiedziała śmiechem na coś, co mówił do niej towarzysz.

Mężczyzna był wysoki, siwowłosy, miał przystojną twarz z bruzdami koło nosa i ust, uśmiechał się do kobiety, ukazując zęby, które wydawały się bardzo białe na tle opalenizny. Lekko kulejąc, podszedł do drzwi, by je zamknąć.

Najwyraźniej był to Jeremy, szwagier Meg. A to znaczyło, że kobieta musiała być jej siostrą, Sonią.

Kobieta zdjęła kapelusz, smukłymi, idealnie wymanikiurowanymi palcami przeczesła ciemne, krótkie włosy, zmrużyła zielone oczy, a jej uśmiech bladł powoli, gdy odwróciła się i zorientowała, że nie są sami.

Bliźniaczo podobna, a jednak w dziwny sposób inna, tak jak próbowała mu wyjaśnić Meg.

Spojrzał na Meg i instynktownie przysunął się do niej, widząc, jak bardzo zbladła. Nie wiedział, czemu tak reagowała - w końcu to była jej siostra bliźniaczka - ale i tak zaoferował jej wsparcie. No i tyle wyszło z decyzji, że nie będzie się angażował. Był już zaangażowany po szyję.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Meg miała wrażenie, że czas wokół niej zatrzymał się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Najpierw to chłodne spotkanie z matką, potem zaskakujące odkrycie na temat Jeda - prawdziwa rewelacja, niezależnie od tego, co miał na ten temat do powiedzenia.

Był Jerrodem Cole'em, na litość boską. Nadal nie mogła w to uwierzyć.

Ten facet był w minionym roku prawdziwym cudem wydawniczym. Sprzedaż jego książki *Łamigłówka* - jakże odpowiedni tytuł dla tak zagadkowego człowieka - osiągnęła poziom niespotykany dotąd po obu stronach Atlantyku. Za prawo do ekranizacji również otrzymał rekordową sumę.

Meg czytała o nim w czasopiśmie, ale nie znalazła dotąd czasu, by kupić i przeczytać książkę, o której wszyscy mówili.

Może to nadrobi, skoro poznała osobiście autora.

Potem nastąpiło spotkanie z ojcem. Starszym, chudszy, dziwnie odmienionym. Nie potrafiła określić, na czym to polegało, wiedziała tylko,

że jest inny. Nie to, żeby odnosił się do niej inaczej; był jak zwykle czuły i kochający. I nie mogła życzyć sobie lepszego potraktowania Scotta.

Ale coś było nie całkiem w porządku - może jakieś niewypowiedziane napięcie pomiędzy nim a matką? Z pewnością nigdy nie słyszała, by odzywał się do żony tak stanowczym tonem.

Jednak największym wstrząsem, bez którego doskonale mogłaby się obyć, było to nieoczekiwane - aż do rozmowy telefonicznej z matką - spotkanie z siostrą.

Dawniej były sobie bliskie, bardzo bliskie, lecz czas i okoliczności sprawiły, że to się zmieniło.

Siostra też nie sprawiała wrażenia zadowolonej ze spotkania; ich spojrzenia toczyły milczącą walkę. Błysk wrogości przemknął po twarzy Soni. Ukryła ją, gdy zorientowała się, że nie są same. Zerknęła z ukosa na Jeda stojącego u boku Meg, jej zielone oczy otworzyły się szerzej. Meg nie sądziła, by siostra go rozpoznała, była to raczej typowo kobieca reakcja na przystojnego mężczyznę.

- Meg, kochanie - odezwała się w końcu chłodnym tonem. - Jak miło znowu cię widzieć. - Przeszła przez pokój, obdarzyła Meg krótkim uściskiem, dotknęła policzkiem jej policzka i złożyła w powietrzu pocałunek. - A to jest...? - Obrzuciła Jeda spojrzeniem pełnym czysto kobiecego uznania.

Meg zwalczyła chęć zazgrzytania zębami, nie miała bowiem kłopotu z właściwą interpretacją tego spojrzenia. Dokonała jednak prezentacji, w sposób możliwie najkrótszy, nie zapomniała też o Jeremym, który zbliżył się do nich, wyraźnie oszczędzając lewą nogę.

W odróżnieniu od matki Sonia zareagowała na tożsamość Jeda kilkoma pochlebnymi komentarzami o jego książce, potem przymrużyła oczy i spojrzała na

Meg. Bez wątpienia zastanawiała się, jakim cudem Meg zdołała poznać tak sławnego i fascynującego mężczyznę.

- A gdzie jest mały... Scott, tak go chyba nazwałaś? - rzuciła z zauważalnym chłodem.

Meg zaczerpnęła gwałtownie tchu i już miała ostro odpowiedzieć, ale przeszkodził jej powrót matki.

- Cieszę się, że zdołaliście wrócić, zanim znowu rozpętała się zamieć - stwierdziła pani Hamilton, zauważywszy, że córka i jej mąż dołączyli do towarzystwa.

- Ledwo, ledwo - wycedziła ponuro Sonia. - Nie macie nic przeciwko temu, że pójdziemy na górę i odświeżymy się trochę przed lunchem? - spytała, nie zwracając się do konkretnej osoby. Wzięła męża pod rękę i oboje zaczęli wchodzić po schodach.

- Znowu zaczęło mocno sypać? - spytała z niepokojem Meg. Gdyby tak było, jak Jed wróci do domu...

- Gorzej niż wczoraj - odpowiedział ojciec, który właśnie wrócił, nadal trzymając Scotta na rękach. Ku zadowoleniu Meg, jej synek wydawał się tym zachwycony. - Na twoim miejscu, Jed, zabrałbym z samochodu bagaże, dopóki masz na sobie wierzchnie okrycie.

- Och, ale...

- Dobry pomysł, Davidzie - wtrącił stanowczo Jed. - Idziesz ze mną, Meg? - dodał znacząco.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi. Najpierw ogłosił, że jest jej przyjacielem, a teraz proponował, by zabrali jego bagaż z auta. Ale przecież nie miał ze sobą żadnej torby. A może...?

Potrząsnęła z zakłopotaniem głową.

- Ale czy nie byłoby lepiej...?

- Nie mogę sam wszystkiego przenieść - powiedział żartobliwie. - Myślę, że zapakowała tyle rzeczy, że starczyłoby ich na miesiąc - zwrócił się do jej ojca.

Meg ściągnęła brwi. Przecież Jed wiedział, że to nie była prawda, sam zwrócił uwagę, jak niewiele rzeczy zabrała ze sobą. Oczywiście, były tam też wszystkie świąteczne prezenty dla Scotta.

Jednakże nadal miała wiele do powiedzenia Jedowi na osobności. Najwidoczniej on jej też.

- Uff - odetchnął z ulgą, gdy znaleźli się już na dworze, a drzwi frontowe zamknęły się za nimi. - Nic dziwnego, że nie chciało ci się tu przyjeżdżać. - Skrzywił się. - Wydaje mi się, że twój ojciec jest w porządku, ale reszta... - Potrząsnął głową. - Twoja matka przypomina odwróconą górę lodową... Inaczej niż w rzeczywistości dziewięćdziesiąt procent lodu znajduje się nad powierzchnią - wyjaśnił z niechęcią, gdy spojrzała nań pytająco. - Twojej siostry jeszcze nie rozgryzłem; wyszła za mężczyznę chyba dwa razy starszego od niej. Chociaż on też sprawia wrażenie porządnego faceta, więc może to tylko kobiety w tej rodzinie są trochę dziwne.

- Czy mam rozumieć, że to odnosi się również do mnie?

Jed uśmiechnął się bez śladu zakłopotania.

- Och nie, w porównaniu z nimi wydajesz się zupełnie normalna.

- Jesteś bardzo miły. - Jej głos ociekał ironią. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Schronimy się przed śniegiem w samochodzie. Jestem pewien, że nadal masz mi coś do powiedzenia. - Rzucił jej kpiące spojrzenie.

- Owszem, co nieco - przytaknęła. Zbiegli po stopniach i wsiedli do range-rovera. Od razu zrobiło im się cieplej. - Jerrod Cole? - powiedziała znacząco.

- Taaak. - Skrzywił się. - Na ogół wolę o tym nie mówić.

- Mnie mogłeś powiedzieć - warknęła z rozdrażnieniem.

- W gruncie rzeczy, nie zamierzałem ci nic mówić. Chciałem tylko odwiedzić ciebie i Scotta, wymienić parę uprzejmych słów i odjechać.

Przynajmniej do chwili, gdy poznałem twoją matkę. - Jego głos stwardniał na to wspomnienie.

- Moją matkę? - Meg zmarszczyła czoło, zdziwiona.

Skinął głową.

- Nie spodobało mi się, w jaki sposób z tobą rozmawiała.

- Jestem do tego przyzwyczajona. - Wzruszyła ramionami.

- I jak ignorowała Scotta. - Jego głos zlodowaciał.

- Nawet jeśli nie pochwała faktu, że go urodziłaś, chociaż w dzisiejszych czasach takie podejście jest śmieszne, absolutnie nie ma prawa traktować go w taki sposób. - Spochmurniał. - Może nie jest to godne pochwały, ale nabrałem ochoty, aby choć na krótko zetrzeć tę wyniosłość z jej twarzy.

Och, udało mu się to. Udało mu się też zaszokować Meg.

- A o co chodzi z tą „Margaret”? - ciągnął z pogardą. - Najwyraźniej wolisz, żeby nazywano cię Meg, reszta rodziny tak się do ciebie zwraca, dlaczego nie robi tego twoja matka?



- Nie wiem - przyznała bezbarwnym głosem.

- Może... - urwała i wbiła wzrok w dłonie, na których nie było ani jednego pierścionka.

- Co? - spytał ostro Jed.

Wzruszyła ramionami.

- Może to byłoby zbyt poufałe. Nie wiem.

Nigdy nie wiedziała, nie była w stanie zrozumieć, dlaczego jako dziecko była przytulana i całowana tylko przez ojca, nigdy przez matkę.

- Przyznaj, Meg - mruknął miękko. - W głębi serca odczułaś ulgę, że odwróciłem od ciebie uwagę twojej matki i ściągnąłem ją na siebie – wyjaśnił - gdy rzuciła mu czujne spojrzenie.

- Naprawdę masz ze sobą jakiś bagaż? - Zmarszczyła brwi. - Czy tylko tak powiedziałeś?

Skrzywił się.

- Zabrałem ze sobą torbę podróżną. Ani przez chwilę nie sądziłem, że będę mógł dziś wrócić do domu - wyjaśnił, widząc, jak zaskoczyły ją te słowa. - W Winston jest hotel, zamierzałem zatrzymać się tam na noc.

Nie było mowy, aby na to pozwoliła, nie po tym, co zrobił dla niej i Scotta. Odruchowo zwilżyła wargi końcem języka.

- Naprawdę, nie mogę się na to zgodzić.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Jed spojrzał na nią przelotnie, po czym pochylił głowę i wpił się w jej usta.

Pod palcami czuła jego gęste, jedwabiste włosy, narastał w niej żar, gdy odpowiadała na jego namiętne pocałunki.

Nagle otworzyły się drzwi po stronie Meg i do wnętrza samochodu wtargnął lodowaty podmuch wiatru. Odsunęła się z zażenowaniem od Jeda, odwróciła się i zobaczyła swego szwagra. Żartobliwy wyraz jego

twarży świadczył, że doskonale zdawał sobie sprawę, w czym im przeszkodził.

- Tak długo was nie było, że Lydia wysłała mnie, żeby sprawdził, czy nie utknęliście gdzieś w zaspie - wycedził z uśmiechem, nie zwracając uwagi na sypiący gęsto śnieg.

Dotąd tylko dwa razy spotkała Jeremy'ego; raz, kiedy wpadł do nich, aby zabrać jej siostrę na randkę, a drugi raz, kiedy powiedzieli jej, że się zaręczyli. I za każdym razem czuła, że go lubi.

Chociaż nie była pewna, czy spodobało jej się, że przyłapał ją i Jeda... w dość delikatnej, jeśli nie kompromitującej, sytuacji.

Lydia wysłała? A może raczej David? - To Jed odezwał się z powątpiewaniem.

Jeremy uśmiechnął się przepaszająco.

- Och, to na pewno była Lydia... Obawiam się, że chodziło jej o to, że herbata stygnie.

Meg przyglądała się, jak obaj mężczyźni wymieniają typowo męskie, pełne zrozumienia spojrzenia.

Jak Jed to robił, zastanawiała się, zaskoczona. Bez wysiłku uciszył jej matkę, od razu oczarował ojca, pozostał odporny na zmysłowy urok Soni, a teraz on i Jeremy porozumiewali się wzrokiem niczym dwóch spiskowców.

Wargi Jeda drgnęły lekko.

- Powiedz, proszę, Lydii, że zaraz wrócimy - wycedził z ironią.

Jeremy uśmiechnął się przyjaźnie do Meg.

- Świetnie wyglądasz, naprawdę - powiedział ciepło, zanim zamknął drzwi samochodu i ruszył ku domowi.

W tych słowach kryła się sugestia, że jej wygląd miał coś wspólnego z pojawieniem się w jej życiu Jeda Cole'a.

Zerknęła na Jeda.

- Naprawdę musimy z tym skończyć.

- Czyżby? - spytał miękko. - Dlaczego?

- Bo... No... Dwójka nieznajomych uwięzionych razem przez zamieć i tak dalej.

- Nie jesteśmy sami, to pewne - wytknął jej kpiąco. - I nie sądzę, byśmy zasługiwali jeszcze na miano nieznajomych - zażartował.

Raczej nie, zgodziła się, nieco oszołomiona, gdy wysiadali z samochodu, aby wyjąć pakunki z bagażnika. Ale byłaby idiotką, gdyby przywiązywała większą wagę do kilku pocałunków. Bo jak tylko śnieżycy ustanie, Jed ruszy w drogę. Prawdopodobnie do Nowego Jorku. I nigdy go już nie zobaczy.

Na litość boską, kobieto, nie angażuj się, mówiła sobie surowo, pomagając wnieść bagaże do domu. Ale miała wrażenie, że to ostrzeżenie jest spóźnione.

Jed zapukał do pokoju Meg, poczekał, by się odezwała, a ponieważ tego nie zrobiła, otworzył drzwi i wszedł do środka, pewien, że ją tu znajdzie.

Leżała na jednym z pojedynczych łóżek, zakrywając ramieniem oczy. W drugim łóżku spał Scott, śliczny jak aniołek, przez oparcie łóżka przerzucony był wielki, czerwony worek.

Jed bezszelestnie przeszedł na bosaka przez pokój, zamierzając - cóż, właściwie nie wiedział, co miał zamiar zrobić. Wiedział tylko, że coś go przyciąga do tej dwójki niczym magnes.

- Jeszcze za wcześnie na Świętego Mikołaja - mruknęła Meg, nie odsłaniając oczu.

- Do diabła, kobieto, przestraszyłaś mnie. Myślałem, że śpisz - powiedział z irytacją, gdy uniosła lekko ramię, by spojrzeć na niego.

- Nie - zapewniła go stanowczo. - Na pewno nie śpię.

Stał przy łóżku i patrzył na nią.

- No to co robisz?

Westchnęła, podniesione ramię opadło na bok, oczy miała zamknięte.

- Leżę tu i staram się nie krzyczeć. Co ty wyprawiasz? - spytała lekko zaniepokojona, kiedy wyciągnął się obok niej na łóżku.

Leżał na plecach, z zamkniętymi oczami.

- To samo co ty... staram się nie krzyczeć. To był chyba najdziwniejszy wieczór w moim życiu. Czy zawsze jesteście tak uprzejmi wobec siebie?

- Zazwyczaj tak. - Zmarszczyła brwi. Potrząsnął głową z niesmakiem.

- I kto przebiera się do kolacji w rodzinnym gronie? - ciągnął; poczuł się zlekceważony, kiedy cała rodzina udała się na górę do swoich sypialni, żeby zmienić ubranie z wyjątkiem Meg, rzecz jasna. Ona wymknęła się ponad godzinę temu. Nakarmiwszy Scotta w kuchni, wróciła do salonu, by oznajmić, ku wielkiemu rozczarowaniu synka, że nadeszła pora na jego kąpiel przed położeniem się do łóżka.

Kiedy nie wróciła przez godzinę, Jed był pewny, że i ona musiała zasnąć. Dopiero teraz miał okazję, aby sprawdzić, co się z nią dzieje.

Meg nie odpowiedziała na jego pytanie, otworzył więc jedno oko i zobaczył, że oparła się na łokciu i spogląda na niego.

- O co chodzi? - spytał ostro. Potrząsnęła głową i odwróciła lekko twarz.

- Nie powinieneś tu być - powiedziała spokojnie.

- Niby dlaczego? Mamy odpowiednią przyzwoitkę. - Skierował znaczące spojrzenie na śpiącego Scotta. - Chociaż odniosłem wrażenie, że nie byłby to wielki problem - wycedził i odwrócił się, by spojrzeć na Meg. Zarumienioną Meg. - Powinnaś zobaczyć swoją twarz, kiedy matka zapytała, czy chcemy mieć wspólny pokój. - Sam z trudem opanował. Wtedy wesołość na widok zaszokowanego wyrazu jej twarzy; teraz uśmiechnął się kpiąco na to wspomnienie.

Musiał jednak podziwiać pełne godności opanowanie, z jakim poinformowała matkę, że będzie dzielić sypialnię ze Scottem, nie z Jedem.

Ale Lydia i tak umieściła ich w sąsiednich pokojach, połączonych drzwiami, przez które właśnie wszedł.

Meg potrząsnęła niecierpliwie głową, twarz jej pobleadła.

- Nie mam pojęcia, co ona sobie myślała? Uniósł ciemne brwi.

- Prawdopodobnie potraktowała cię jak osobę dorosłą, bo nią jesteś - podsunął. - Zauważył, że przez większą część wieczoru Lydia była przygaszona, częściej obserwowała ich, niż brała udział w rozmowie.

- Mam co do tego wątpliwości. - Meg skwitowała jego sugestię sceptycznym wygięciem warg. - Bardziej prawdopodobne, że miało to być obraźliwe.

- Hej, muszę zaprotestować - fuknął, ciesząc się, że ma okazję podroczyć się z nią. - Zazwyczaj rodzice dam nie uważają mnie za nieodpowiedniego. - Co prawda, nigdy jeszcze żadnych nie poznał; jego związki z kobietami zwykle nie zmierzały w tym kierunku.

- To nie było wymierzone przeciwko tobie, tylko przeciwko mnie. -  
Westchnęła, kładąc głowę na poduszce obok niego. - Z powodu Scotta.

- Co za bzdura - odpowiedział gniewnie. - To taki fajny dzieciak,  
nikt nie mógłby w ten sposób o nim myśleć. Między nim i twoim ojcem  
nawiązała się silna więź.

Nie było wątpliwości, że towarzystwo wnuka sprawia Davidowi  
Hamiltonowi ogromną przyjemność. Obaj spędzili większość wieczoru,  
siedząc na podłodze i bawiąc się zabawkami Scotta.

- Tak. - Na ustach Meg pojawił się uśmiech, Jed odwrócił się i  
przyjrzał się jej z uwagą.

- Widujesz jego ojca? Zmarszczyła brwi.

- Czyjego ojca?

- Scotta, rzecz jasna - odpowiedział ze zniecierpliwieniem, zniżając  
głos, gdy chłopczyk poruszył się we śnie. - Czy ty i Scott widujecie się z  
jego ojcem?

- Oczywiście, że nie. - Wyglądało, że poczuła się zaskoczona tą  
możliwością, i to bardzo.

Jed uniósł rękę obronnym gestem.

- Ja tylko zapytałem. Nie byłoby w tym nic dziwnego.

- W tym przypadku byłoby - zapewniła go stanowczo, przesuwając  
się, by spojrzeć na niego. - Dlaczego mam wrażenie, że tylko zbierasz  
informacje i że my wszyscy możemy pojawić się w twojej następnej  
książce?

Skrzywił się, sprowadzony przez nią na ziemię.

- Chciałbym, żeby tak było - mruknął gniewnie.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie wiem nawet, czy będzie następna książka. - Zerwał się z łóżka. - A jak myślisz, co robiłem w tym małym domku? - Stał nachmurzony, z rękami w kieszeniach dżinsów. - Czytelnicy i wydawcy, zarówno tu jak i w Stanach, wszyscy domagają się następnej książki Jerroda Cole'a. Książki, której jeszcze nie napisałem i nie wiem, czy kiedykolwiek napiszę - wyznał z goryczą, po raz pierwszy ujmując w słowa wątpliwości, których doświadczał przez cały rok - czy da radę napisać tę książkę, czy nie.

*Łamigłówka* nie była jego pierwszą książką, lecz siódmą, poprzednia szóstka też znalazła się na listach bestsellerów, ale żadna nie zdobyła takiego światowego rozgłosu ani nie wywołała takiego nacisku, by stworzył następny hit.

Najwyraźniej nie mógł napisać kolejnej książki w typie *Łamigłówki*, musiał napisać coś zupełnie innego, a jednocześnie powinna to być książka, która nie rozczaruje ludzi, niecierpliwością czekających na następną powieść Jerroda Cole'a.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nagle uświadomił sobie, że na krótki czas zapomniał o swej bezsilności, koncentrując się na Meg i jej rodzinie.

Meg usiadła i spojrzała na niego z z troskaniem.

- Ale czy nie mógłbyś...? - Urwała - marszcząc brwi, gdy ktoś zapukał do drzwi i zaraz je otworzył.

- Och! - Na progu stała Sonia, nieco spłoszona, gdyż oboje odwrócili się i spojrzeli na nią. - Przepraszam. - Skrzywiła się, zaciekawione spojrzenie zielonych oczu spoczęło najpierw na stojącym Jedzie, potem na Meg siedzącej na skraju łóżka. - Chciałam tylko zamienić parę słów z Meg przed kolacją - wycodziła, szybko odzyskując pewność siebie. - Ale mogę przyjść później. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Tak podobna na pierwszy rzut oka, a jednak zupełnie inna.

Meg nie miała w sobie nawet odrobiny przebiegłości i wyrefinowania Soni, ani też tej perfekcji, dzięki której Sonia powinna być piękniejszą z nich - a jednak nie była. Przynajmniej nie w oczach Jeda.

Zorientował się, że zdawała sobie z tego sprawę. Poznał to po pełnym namysłu spojrzeniu utkwionym w Meg, które zdradziło mu, że nigdy dotąd nie zdarzyło się, by ktoś wołał od niej mniej pewną siebie bliźniaczkę. Zdaniem Jeda, ten lekki rumieniec gniewu na policzkach Soni był złą wróżbą dla Meg.

Rzucając Soni wyzywające spojrzenie, zbliżył się do Meg i otoczył ramieniem jej wątłe barki.

- Sądzę, że to dobry pomysł. - Skinął głową.

- Przecież nie chcielibyśmy obudzić Scotta, prawda? - dodał z naciskiem.

Sonia spojrzała na śpiące dziecko; jej twarz pozbawiona była wyrazu.

- Nie - zgodziła się spokojnie. - Z całą pewnością nie chcielibyśmy obudzić Scotta.

- Więc zobaczymy się później, Soniu. - Mówił spokojnie, lecz stanowczo, zamierzając położyć kres tej patowej sytuacji.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, potem zaczerpnęła tchu, rozluźniła mięśnie ramion i znowu uśmiechnęła się z chłodną pewnością siebie.

- Później - powtórzyła spokojnie, odwróciła się i odeszła.

Ramię Jeda opadło, gdy Meg odsunęła się od niego i stanęła przy oknie. Był jednak pewien, że nie widziała krajobrazu za, oknem ani jego bożonarodzeniowej bieli - warstwa śniegu urosła o kilka cali w ciągu wieczoru.



Wydawała się taka mała, szczuplutka w swoim czerwonym swetrze i czarnych džinsach, kruczoczarne włosy, proste i lśniące, sięgały jej niemal do pasa.

- Do diabła, o co tu chodzi? - W panującej ciszy jego głos brzmiał szorstko i ostro. Z pewnością ostrzej niż zamierzał, ale wydawało mu się, że im bardziej stara się zrozumieć tę rodzinę, tym mniej o niej wie.

Meg nie odzywała się przez chwilę, potem zaczerpnęła tchu, rozprostowała ramiona i zwróciła się ku niemu. Uśmiech, do którego się zmusiła, ograniczył się do wygięcia warg.

- To nieważne - powiedziała bagatelizująco.

Jed czuł narastającą frustrację, zacisnął dłonie w pięści.

- Dlaczego, do cholery, pozwalasz, żeby tak ci dopiekali? - warknął ze zniecierpliwieniem. - I narażasz na to Scotta?

Wprowadzenie do rozmowy dziecka, które najwyraźniej uwielbiała, było ciosem poniżej pasa, zresztą nie mógłby powiedzieć, że Scott ucierpiał z powodu ignorowania jego osoby przez babkę i ciotkę - dziadek rekompensował mu to swoją czułością i uwagą.

- Och, do diabła z tym. - Z niesmaku aż uniósł w górę rękę. - To twoja toksyczna rodzina. Jestem pewien, że wiesz, jak sobie z nią radzić.

Odwrócił się na pięcie i przeszedł do swego pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi. Nie chciał się w to wszystko mieszać, niepotrzebne mu to było, miał dość własnych problemów na głowie.

Meg Hamilton będzie musiała radzić sobie sama.

Im wcześniej pogoda się poprawi i będzie mógł odjechać, tym lepiej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jed się mylił. Bardzo się mylił.

Meg nie miała zielonego pojęcia, jak poradzić sobie ze skrywanym napięciem pomiędzy członkami rodziny.

Matka i ojciec, jak zorientowała się wieczorem, prawie ze sobą nie rozmawiali.

Rodzice nigdy nie byli demonstracyjnie wylewni wobec siebie, a matka zawsze miała w rodzinie decydujące słowo. Teraz jednak, czego Meg nie mogła zrozumieć, dało się wyczuć pomiędzy nimi pewien chłód, a ojciec nie przyjmował już ze spokojem rozkazów matki. Na przykład, w ciągu wieczoru matka kilkakrotnie sugerowała, że ojciec powinien pójść na górę i położyć się na chwilę, on jednak całkowicie ignorował jej słowa i nadal bawił się ze Scottem jego zabawkami.

Napięcie pomiędzy nią i Sonią trudniej było zdefiniować. Choć wydawało się, że Jed bez trudu je wychwytał. Ale nie fakt, że w pewnym stopniu to on był jego powodem.

Od narodzin Scotta Meg ani razu nie była w domu, nie związała się też z żadnym mężczyzną, a teraz nie tylko zjawiała się na święta, ale jeszcze przywiozła ze sobą Jerroda Cole'a. A Sonia, jak to ona, prawdopodobnie zastanawiała się, jak bardzo Meg się zaangażowała i z czego mogła mu się zwierzyć.

Jak gdyby Sonia wcale jej nie знаła, skoro mogła przypuścić, że byłaby w stanie narazić na szwank wszystko, o co tak walczyła.

Uniosła szybko głowę, gdy znowu ktoś zastukał do drzwi jej sypialni, i odruchowo napięła mięśnie: z osoby niezbyt mile widzianej w

rodzinie stała się nagle popularna. Chociaż nie bardzo miała ochotę na kolejną lodowatą pogawędkę z matką.

Uśmiechnęła się z ulgą, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła ojca, który stał w holu z uśmiechem na twarzy, z koszulą i krawatem przerzuconymi przez ramię. Dla Jeda, domyśliła się. Może i zabrał ze sobą podręczną torbę, ale bardzo wątpiła, czy zapakował w nią coś, w co mógłby przebrać się do kolacji.

- Jed jest w sąsiednim pokoju, tatku - powiedziała, rzuciwszy przedtem okiem na Scotta, by upewnić się, że nadal śpi.

Wymknęła się na korytarz do ojca.

- Naprawdę czujesz się już dobrze, tatusiu? - Położyła mu dłoń na ramieniu i popatrzyła na niego z niepokojem.

- Naprawdę - zapewnił. - Lekarze mówią, że to był tylko lekki atak serca. Ostrzeżenie, jeśli wolisz, że powinienem zmienić tryb życia na mniej stresujący.

Ojciec był o osiem lat starszy od matki i parę miesięcy temu przeszedł na emeryturę. Meg nie wiedziała, co mógłby jeszcze zmienić.

- Nie w tym sensie, skarbie - powiedział łagodnie. - W tej rodzinie są sprawy, z których nie jestem zadowolony. Sprawy, które powinno się zmienić - dorzucił stanowczo.

Nie myliła się więc co do zmian, które w nim zaszły. Czy to możliwe, że część zmian, które chciał wprowadzić, mogły dotyczyć jej?

- Tak, Meg - miękko potwierdził jej domysły.

- Jesteś moją córką. A Scott jest moim wnukiem. W przyszłości zamierzam częściej was widywać.

Niczego nie pragnęłaby więcej, gdyby chodziło tylko o widywanie się z ojcem. Natomiast matka - to zupełnie inna sprawa.

Ojciec uścisnął jej dłoń ze zrozumieniem.

- Wszystko jakoś się ułoży. Bardzo kocham twoją matkę, ale kocham też moje córki, a teraz i wnuka. Lydia będzie musiała się z tym pogodzić.

Nie rozumiała, co miał na myśli, nigdy nie mogła zrozumieć rezerwy, którą matka okazywała rodzinie. Zwłaszcza odkąd sama została matką.

Ojciec dotknął czule jej policzka.

- Nie wszystko jest takie, jak się wydaje, moja mała Meg. Matka bardzo cię kocha, i Sonię też, a z czasem pokocha Scotta, kiedy go lepiej pozna. Nie można go nie pokochać - dodał z czułością. - A teraz czas, abym doręczył te rzeczy. - Uniósł w górę koszulę i krawat.

- Lubię go, nawiasem mówiąc - dorzucił żartobliwie.

- Jeda? - Spojrzała na ojca z zaskoczeniem, źle się czuła, wiedząc, że nie znał całej prawdy. - Słuchaj, tatku, to kolejna sprawa, która jest inna, niż się wydaje. Wiesz.... - urwała, marszcząc brwi, gdy otworzyły się za nią drzwi. Odwróciła się i zobaczyła Jeda. Na progu jej sypialni.

- Przepraszam. - Skrzywił się, widząc ich razem. - Zrobiło się późno i właśnie szedłem do ciebie, Davidzie. Po to - dorzucił, gdy jej ojciec uniósł w górę koszulę i krawat. - Dzięki. - Odebrał od niego rzeczy i zamknął drzwi.

Prawdopodobnie nie była to odpowiednia chwila, aby przekonywać ojca, że nic nie łączy jej z Jedem, że wpadła na niego przypadkowo - i to dosłownie - zaledwie poprzedniego wieczoru.

- Zaczęłaś coś mówić? - spytał ojciec. Skrzywiła się.

- To nic ważnego. Ojciec skinął głową.

- Więc też pójde przebrać się do kolacji. I nie martw się, Meg, wszystko będzie dobrze.

Ale gdy odszedł, nie weszła do swej sypialni, lecz skierowała się do drzwi prowadzących do sąsiadującego z nią pokoju.

Weszła i zatrzymała się gwałtownie, gniewne słowa zamarły jej na ustach na widok Jeda, który stał obok łóżka, ubrany tylko w wytarte dżinsy. Prawdę mówiąc, ledwo mogła oddychać, a co dopiero mówić.

Tors i ręce Jeda były tak samo opalone jak jego twarz, ramiona szerokie i muskularne, na całym ciele nie było ani odrobiny zbytecznego tłuszczu.

Skwitował jej milczenie uniesieniem brwi.

- Z pewnością nie jestem pierwszym półnagim mężczyzną, którego widziałaś - wycedził z ironią.

Oczywiście, że nie. Po prostu jego nagość była tak nieoczekiwana, widziana z tak bliska. Do tego był taki przystojny...

- Przykro mi, że przeszkodziłem wam przed chwilą. Sądziłem, że jesteś w swoim pokoju i gdy usłyszałem głosy na korytarzu... - Urwał, gdyż nadal nie odrywała od niego oczu. Położył koszulę na łóżku i podszedł do niej powoli. Zatrzymał się. - Jesteś bardzo milcząca, Meg. Nie masz nic do powiedzenia?

*Na przykład: pocałuj mnie? Weź mnie do łóżka? Kochaj się ze mną?*

Owładnięci pożądaniem, całowali się namiętnie, zaborczo, pochłaniając się wzajemnie, smakując, spijając. Skóra Jeda w dotyku była jędrna, gładka i gorąca, jej żar dorównywał jedynie żarowi płonącemu w samej Meg. Gdy wtulała się w niego, a jego usta sunęły w dół po delikatniej kolumnie jej szyi, całe jej ciało zdawało się zmieniać w płynny ogień.

- Jak, do diabła... - Jed uniósł głowę, aby spojrzeć na Meg, ujął w dłonie jej twarz, zanurzył palce w ciemnej gęstwinie jej włosów i

wpatrywał się w nią głodnym wzrokiem. - Jak mogę zejść na dół i jeść kolację z twoją rodziną, skoro to ciebie mam ochotę schrupać? - jęknął. - Każdy... - ucałował jej usta -...rozkoszny... - pocałował ją znowu - ...cał.... - znowu pocałunek - ...twojego ciała.

W końcu oderwał usta od jej warg; oddychał nierówno, policzki pokrywał mu rumieniec.

- Co ja mam z tobą zrobić, Meg Hamilton?

- Zrobić ze mną? - powtórzyła rozmarzona. Jed złapał ją za ramiona i odsunął lekko.

- Nie wiem, czy to zauważyłaś, ale gdy jesteś blisko mnie, nie jestem w stanie utrzymać rąk przy sobie - jęknął, jakby z pogardą dla swej słabości.

Zareagowała na jego ton zmarszczeniem brwi.

- Nie prosiłam cię o to.

- Nie, ale... - Potrząsnął niecierpliwie głową i zacisnął silniej dłonie na jej ramionach. - Jestem typem włóczęgi. Nigdy nie wiem do końca, gdzie będę za tydzień, mam domy w Nowym Jorku, Vancouverze i Paryżu. Twoje życie jest związane z Anglią, ze Scottem i twoją pracą. Nie dosyć zostałaś już skrzywdzona? - dorzucił szorstko.

Miał na myśli - przez ojca Scotta. Jednocześnie ostrzegał ją, że nie jest bardziej zainteresowany stałym związkiem, niż był ojciec Scotta. Jego ostrzeżenie byłoby śmiechu warte, gdyby tak bardzo jej nie zraniło.

Kim była, jego zdaniem? Samotną matką, prawdopodobnie poszukującą męża dla siebie i ojca dla Scotta? Równie szybko, jak rozpalilo się w niej pożądanie, zmieniło się w tak samo niepowstrzymywany gniew.

- Doprawdy, Jed... - powiedziała lekceważąco, strącając ze swych ramion jego dłonie. Odsunęła się, oczy rozbłysły jej gniewem. - Pochlebiasz sobie, jeśli sądzisz, że to... - nonszalancko machnęła ręką, zamykając w tym geście wszystko, co zaszło między nimi w ciągu ostatnich chwil -... znaczy dla mnie więcej niż dla ciebie. - Zaśmiała się ostro, nieprzyjemnie. - Tak się złożyło, że lubię swoje życie, takie jakie jest, i nie mam zamiaru wikłać się w stały związek. Nigdy! - dorzuciła gwałtownie.

- Meg...

- Ale to nie znaczy - ciągnęła z naciskiem - że mając dwadzieścia siedem lat, jestem skazana na celibat. I co, Jed? - spytała szyderczo na widok jego zachmurzonej twarzy. - Nie podoba ci się takie odwrócenie ról? Jaka szkoda - zakpiła. - Bo tak to właśnie wygląda. I jeśli o mnie chodzi, zawsze tak będzie.

Kilkoma długimi krokami dotarła do drzwi łączących ich pokoje. Jed przyglądał się jej z zaciśniętymi ustami, mrużąc oczy.

- Nie wierzę ci - powiedział w końcu.

I miał rację. Nigdy nie bawiła się w przygodne romanse.

Więc co właściwie robiła w sypialni Jeda Cole'a? Uciekała z niej, tak szybko, jak to możliwe. Od niego. Od pożądania, które budziło się, ilekroć znajdowała się blisko tego mężczyzny.

- Możesz wierzyć, w co chcesz - stwierdziła pogardliwie. - Ale na przyszłość nie wchodź bez zaproszenia do mojej sypialni.

- A jeśli zostanę zaproszony? - Wysunął szczękę, kości policzkowe uwydatniły się pod skórą, błękitne oczy zlodowaciały.

Meg roześmiała się niewesoło.

- Miejmy nadzieję, że będziesz mógł wyjechać jutro. Sądzę, że do tego czasu zdołam oprzeć się pokusie.

Weszła do swej sypialni i zamknęła za sobą drzwi, zdecydowanie, lecz - z konieczności - cicho.

Łzy upokorzenia przesłaniały jej wzrok, gdy potykając się, przeszła przez pokój i usiadła na brzegu łóżka. Schowała twarz w dłoniach i pozwoliła, by łzy zaczęły płynąć.

Przez ponad trzy lata trzymała się z dala od mężczyzn, którzy okazywali jej zainteresowanie. Nie dlatego, że nie chciała kochać i być kochaną, ale dlatego że miała Scotta i każdy mężczyzna, który chciałby dzielić z nią życie, musiałby włączyć w nie jej synka. Nie jako dodatek do niej, lecz dla niego samego.

Ale w ciągu tych dwóch dni pozwoliła, by Jed Cole przedarł się przez jej bariery ochronne, tylko po to, aby usłyszeć, że nie chciał wiązać się z nią - nie mówiąc już o Scotcie - na stałe.

Podniosła głowę, spojrzała na śpiącego syna i znowu poczuła przypływ ogromnej miłości. Był niewinnym dzieckiem, wartym tego bólu odrzucenia, który przeżywała od trzech i pół roku, odrzucenia przez rodzinę, tak zwanych przyjaciół oraz mężczyzn w typie Jeda Cole'a, którzy nie chcieli komplikować sobie życia.

Tak, naprawdę dobrze to rozegrałeś, stwierdził z niesmakiem Jed, patrząc na drzwi, które Meg zamknęła mu przed nosem. Bardzo uprzejmie. W wyjątkowo wyrafinowany sposób.

Ale prawdą było, że ilekroć byli sami, nie mógł utrzymać rąk przy sobie, wykorzystywał każdą okazję, by ją pocałować i przytulić. I to go przerażało. Nie było wątpliwości, że jej pragnął, że dotyk jej ciała do-



prowadzał go do szaleństwa, ale z drugiej strony pragnął jej bronić, chronić przed krzywdą. Jak się wydawało, nawet przed samym sobą.

Mój Boże, należało tylko mieć nadzieję, że życzenie Meg się spełni i że będzie mógł jutro wyjechać - musiał znaleźć się od niej daleko, zanim doprowadzi go do szaleństwa. Jednak trzymanie się z dala od Meg nie było łatwe, gdy przebywał w domu jej rodziców. Dotarło to do niego, kiedy przy kolacji okazało się, że siedzi obok niej.

Oczywiście, mógł się tego spodziewać. Tylko sześć osób siedziało wokół okrągłego stołu. Ojciec Meg zajmował miejsce u jej drugiego boku, specjalnie, jak osądził Jed. W ten sposób obaj tworzyli jakby straż przyboczną. Chociaż dziś wieczorem Meg nie sprawiała wrażenia osoby potrzebującej ochrony.

Podczas ich krótkiej znajomości Jed widywał ją tylko w grubych swetrach i dopasowanych dzinsach, ale zdołała widocznie upchnąć klasyczną czarną sukienkę do małej podróźnej torby, która zawierała rzeczy jej i Scotta. Czarną sukienkę, w której wyglądała wspaniale.

Prawie nie mógł oderwać od niej oczu, gdy rozmawiała z ojcem i Jeremym w salonie, a teraz znalazł się obok niej przy stole. Gdy siadała, sukienka podjechała w górę, odsłaniając uda, ulotny zapach perfum pobudzał jego zmysły za każdym razem, gdy się poruszyła.

- Może soli, Jed? - rozbawiony głos Davida Hamiltona wdarł się w jego obsesyjne rozmyślania. Zupełnie jakby starszy mężczyzna wiedział, co zaprzętało jego umysł.

Może i wie, pomyślał ze skrucą Jed, biorąc solniczkę, żeby posolić zupę; bez wątpienia w tych zielonych oczach, tak podobnych do oczu jego czarującej córki, krył się żartobliwy błysk.

Jednak atmosfera podczas kolacji była sztywna i nienaturalna. Marszcząc brwi, rozejrzał się dokoła. Prowadzono uprzejme rozmowy, stół został nakryty uroczyście, z kryształowymi kieliszkami i srebrnymi sztućcami, jedynym ustępstwem na rzecz Bożego Narodzenia była dekoracja z czerwonych gwiazd betlejemskich pośrodku stołu.

Pozostałe kobiety wyglądały równie elegancko, jak Meg, Lydia w czerni, Sonia w szmaragdowej zieleni, David i Jeremy włożyli eleganckie koszule i krawaty.

Jak rażąco różniło się to od świątecznego wieczoru na farmie w Montanie. Wszyscy zgromadzą się dziś w kuchni, rozmawiając i śmiejąc się, dzieci będą krzyczeć, podczas gdy ich matki zajmą się pieczeniem indyka. Ojciec i bracia włożą czyste dżinsy, może nawet koszule z materiału w szkocką kratę, kobiety prawdopodobnie ubiorą się tak samo.

Tęsknił za nimi, uświadomił sobie ze ściśniętym sercem, brakowało mu tych krzyków, śmiechu, żartów, nawet wybuchających od czasu do czasu kłótni.

- Nie smakuje ci dziczyzna, Jed? - Z wysiłkiem skupił uwagę na Soni, siedzącej po jego prawej stronie. Jej migotliwa zielona suknia była idealnie dobrana do koloru oczu, oczu, które - jak sobie uświadomił - najwyraźniej go kokietowały.

- Dziczyzna? - Spojrzał na talerz, znajdujący się przed nim. Kiedy go tu położono? Czy zjadł zupę? Nie pamiętał, by to zrobił.

Tracisz głowę, Cole, skarcił się w duchu. Ale dziczyzna? Na litość boską, kto je dziczyznę w Wigilię? Oczywiście, Hamiltonowie. Nie mógł nie zastanowić się, co podadzą jutro na lunch. Może pawia?

- Dziczyzna jest bardzo dobra. Dziękuję, Soniu - odpowiedział, zorientowawszy się, że nadal czekała na odpowiedź.

Może pojedzie do domu na Nowy Rok. Wyjechał do Anglii, aby uniknąć zawracania mu głowy w Nowym Jorku, a teraz, o ironio losu, musiał także opuścić Anglię. I to szybko.

- Jak poznaliście się z Meg? - zapytała Sonia, w jej zielonych oczach kryło się zaciekawienie.

Jed z łatwością wyczuł napięcie Meg, jej dłoń spoczywająca obok talerza zacisnęła się kurczowo. Wyciągnął rękę i zakrył nią ten dowód zdenerwowania.

- Przez wspólnych przyjaciół - odpowiedział.

- Naprawdę? - Sonia wyglądała na zdziwioną.

- Tak, naprawdę - powtórzył z naciskiem. - Meg wpadła do domku moich przyjaciół, kiedy akurat byłem tam z wizytą. Od tej pory jesteśmy nierozłączni.

Lekko nagiął prawdę, chociaż ostatnia część była bez wątpienia prawdziwa: on i Meg rzadko przebywali osobno od chwili, gdy się wczoraj spotkali.

- Jakie to romantyczne - wycodziła Sonia.

- Bardzo. - Celowo uniósł dłoń Meg i przesunął po niej ustami. Zacisnął palce na jej palcach, zanim zdążyła odruchowo cofnąć rękę, uciekając przed jego bliskością. - Ze Scotta też miły dzieciak.

Twardy wyraz zniknął z oczu Soni; zastąpiła go chłodna obojętność.

- Chyba tak, jak na dzieciaka.

- Nie lubisz dzieci?

- Nie czuję do nich niechęci. - Sonia wzruszyła białymi, obnażonymi ramionami i zwróciła się z uśmiechem do męża. - Chociaż muszę przyznać, że raczej cieszy mnie, że Jeremy ma dzieci z poprzedniego małżeństwa, więc nie jest zainteresowany posiadaniem kolejnych.

- Davidzie, może zechcesz dolać nam wina? - wtrąciła zdecydowanym tonem Lydia Hamilton, przerywając temat, który, jej zdaniem, był niewłaściwy i nie nadawał się do poruszania przy stole.

Może miała rację, pomyślał z niechęcią, kiedy nadal milcząca Meg zdołała w końcu uwolnić lekko drżącą dłoń.

Niewłaściwy, ale interesujący. Jedna bliźniaczka, „urządzona” dzięki zawodowej karierze i bogatemu mężowi, najwyraźniej nie chciała, aby dzieci zakłóciły ten wygodny styl życia, podczas gdy druga - niezamężna i z całą pewnością niebogata - z łatwością mogła oddać dziecko, które musiała wychowywać sama, zamiast tego gotowa była na wszelkie wyrzeczenia, aby je zatrzymać.

Wiedział, którą bliźniaczkę podziwiał bardziej.

- Jeszcze wina? - zaproponował David, trzymając butelkę nad prawie pustym kieliszkiem Jeda.

- Czemu nie? - zgodził się.

Chociaż nie sądził, by w całym domu znalazło się dość wina, żeby pomóc mu w zaśnięciu, kiedy później położy się do łóżka. Ale przynajmniej nie będzie czuwał sam; dzieci na całym świecie nie zmrują oka, czekając na przybycie Świętego Mikołaja.

Różnica polegała na tym, że jego bezsenność nie miała nic wspólnego z wesołym staruszkiem w czerwonej szacie, lecz wywołała ją zielonooka wiedźma, Meg Hamilton. Mógł spędzić ten czas, modląc się, by w nocy nastąpiła odwilż.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Meg nigdy jeszcze nie była tak zadowolona, że wieczór dobiega końca.

Wszystko było okropne, od żenującej sceny w sypialni Jeda począwszy, przez pełną skrepowania atmosferę podczas kolacji, do równie wymuszonych rozmów, gdy wrócili do salonu. Meg starannie unikała spojrzenia na Jeda po tym, jak pocałował ją w rękę na oczach całej rodziny.

Bóg jeden wie, co on sobie pomyśli po tym wieczorze.

Może zmądrzał na tyle, by w przyszłości nie unikać swojej hałaśliwej rodziny. Jeśli w ogóle miał choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Czy jej rodzina zawsze była taka? Chyba nie. To ukryty nurt nigdy nieporuszanych spraw wywoływał to napięcie.

Ale jeśli będzie miała szczęście, spędzi tu tylko jeszcze jeden dzień, a potem ona i Scott wyjadą. I nigdy nie wrócą, jeśli będzie to od niej zależało. Musi coś wymyślić, aby Scott i ojciec mogli się widywać, bez narażania ich na takie przeżycia. Znajdzie jakiś sposób.

Jednak w tej chwili miała do odegrania inną rolę - rolę Świętego Mikołaja. Było to trudniejsze, niż przewidywała. Gdy zabierali prezenty z samochodu Jeda, postanowili przechować je w jego sypialni. I nadal tam się znajdowały.

Zostawiła Jeda na dole, zajętego rozmową z jej ojcem, więc mogłaby wśliznąć się do jego pokoju i zabrać pakunki... To jednak było śmieszne.

Miała dwadzieścia siedem lat, godny szacunku zawód i synka; nie będzie nigdzie się wślizgiwać we własnym domu.

Nie po tym poniżeniu, które przeżyła, gdy Jed z brutalną szczerością ostrzegł ją, by nie oczekiwała od niego miłości i stałego związku. Będzie chodziła, gdzie chce, kiedy zechce, a jeśli Jedowi to się nie spodoba, to trudno.

Zanim jednak zdążyła zrobić krok w kierunku jego sypialni, drzwi od korytarza otworzyły się gwałtownie, do środka weszła Sonia i zamknęła je cicho za sobą. Twarz miała bladą, przyglądała się uważnie Meg przez całą szerokość pokoju.

- Co powiedziałaś Jedowi? - spytała od razu. Meg wstała, spoglądając chłodno na siostrę.

- Nic mu nie powiedziałam - zapewniła ją z pełną spokoju powagą. - I nigdy nie powiem. Ani jemu, ani nikomu. Taki był układ, prawda? - dodała pogardliwie.

Jeśli to możliwe, jej siostra zbladła jeszcze bardziej.

- Myślisz, że nic nie czuję?

- Ja to wiem - oznajmiła stanowczo Meg. - Kto mógłby wiedzieć lepiej?

Sonia potrząsnęła głową i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

- Czy mogę coś na to poradzić, że nie jestem taka, jak ty? - jęknęła w końcu z rozpaczą. - Dlaczego nigdy tego nie rozumiałaś?

- Ależ ja rozumiem, Soniu - odpowiedziała chłodno. Jej twarz nie zdradzała zamętu, który czuła. Po prostu ona i Sonia nie rozmawiały o takich sprawach. Już nie. - Masz, czego chciałaś: karierę zawodową i męża. - Westchnęła. - Przyznaję, to pech, że wszyscy się tu spotkaliśmy, ale zapewniam cię, że gdy się rozjedziemy, nie obejdzie mnie, jeśli więcej cię nie zobaczę. - Prawdę mówiąc, wolałaby, aby tak się stało.

Sonia przystanęła; na jej twarzy malowało się trudne do rozszyfrowania uczucie, w oczach miała łzy.

- Tęsknię za tobą, Meg - wykrztusiła.

Słyszając to nieoczekiwane wyznanie, Meg gwałtownie zaczerpnęła tchu. Bo ona też tęskniła.

- Sama dokonywałaś wyborów, Soniu.

- Dokonałam wyboru - poprawiła siostra. - I nadal go nie żałuję - zapewniła cicho. - A ty żałujesz?

- Nigdy - zapewniła stanowczo Meg.

- Więc dlaczego...? - jęknęła. - Czy nie mogłybyśmy znowu być przyjaciółkami? Choroba taty była dla mnie szokiem, uświadomiła mi, że życie jest zbyt krótkie. - Spojrzała błagalnie na bliźniaczkę. - Wiem, że źle postąpiłam. Wiem, że ranię ludzi. Zraniłam ciebie. Ale nigdy tego nie chciałam. Tak się po prostu stało. To Boże Narodzenie, Meg, czy może być lepszy czas na przebaczenie?

- Dawno już ci wybaczyłam, Soniu - wyznała ze spokojem. - Myślę, że teraz musisz wybaczyć sobie.

- Próbowałam. - Sonia zamknęła oczy, łza spłynęła po jej bladym policzku. - Czasem przez wiele dni nie pamiętam... co zrobiłam. - Spojrzała na Meg. - Ale wiem, przez cały czas wiem, że gdybym jeszcze raz stanęła przed takim wyborem, znowu zrobiłabym to samo.

Meg głośno przełknęła ślinę.

- Może akceptacja jest formą wybaczenia.

- Znowu chcę być twoją siostrą, Meg. I najbardziej w świecie pragnę - w jej spojrzeniu nie było wahania - być ciotką Scotta.

Meg zmarszczyła z namysłem brwi.

- Nigdy nie przestałaś być moją siostrą - odpowiedziała schrypniętym głosem. - A co do Scotta... ty jesteś jego ciotką.

Sonia uśmiechnęła się niepewnie.

- Więc spróbujesz, Meg? - spytała cicho. - Przez wzgląd na siebie, nie na mnie.

Meg czuła się niepewnie, była zbита z tropu.

- Jesteś szczęśliwa? - Przyjrzała się uważnie siostrze. - Jesteś szczęśliwa z Jeremym?

- Och, tak - odpowiedziała Sonia bez wahania.

- Wiem, że ludzie patrzą na nas i widzą lato z jesienią.

- Wykrzywiła ze smutkiem usta. - Myślałam, że wyszłam za niego dla pieniędzy i pozycji, że on ożenił się ze mną, aby mieć u swego boku piękną i młodą zdobycz. Ale myłam się, Meg. - Uśmiechnęła się. - Bardzo kocham Jeremy'ego. A on kocha mnie. Dobrze nam się żyje.

Meg skinęła głową.

- Więc tylko to się liczy, praw...? - Urwała i otworzyła szeroko oczy, gdy Jed wszedł z sąsiedniego pokoju do jej sypialni. Czy nie powiedziała mu, aby następnym razem pamiętał o pukaniu?

Spojrzał na obie kobiety, unosząc brwi, i wykrzywił przepraszająco wargi.

- Ho, ho, ho! - Zerknął na torbę z prezentami, którą miał przerzuconą przez ramię.

Przez chwilę gapiły się na niego, potem spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem.

- Cóż, chyba wiem, co znajdzie się w tym roku w twojej pończosze, Meg. - Sonia w końcu opanowała się na tyle, by móc żartować.

Ciekawa perspektywa, ale Meg nie sądziła, by tak było.



Pełnym wdzięku ruchem, nasuwającym na myśl migotliwego zielonego motyla, Sonia przysunęła się do Jeda.

- Wesołych świąt, Jed. - Uniosła głowę, by pocałować go w policzek.

Zdaniem Meg, trwało to dłużej, niż powinno. Och, wiedziała, że Sonia lubi flirtować, że przychodzi jej to równie łatwo jak oddychanie, nie mogła jednak powstrzymać zazdrości, którą wywołał ten platoniczny całus.

- Wesołych świąt, Meg. - Sonia podeszła teraz do siostry, aby ją objąć i pocałować. - Naprawdę, cieszę się twoim szczęściem - szepnęła tak cicho, że tylko ona mogła ją usłyszeć. - Zobaczę się z wami rano.

I odeszła w kuszącym obłoku perfum, pozostawiając Jeda i Meg samych w sypialni.

Meg nie była tym uszczęśliwiona, ze względu na rozmowę, która miała miejsce przed kolacją. Obserwowała go czujnie, gdy powoli kładł torbę z prezentami na wyłożonej wykładziną podłodze.

- Usłyszałem jakieś głosy - wyjaśnił skrzywiony. - A twoja reakcja na sugestię Soni, że wróci tu później, podsunęła mi myśl, że możesz potrzebować pomocy.

Jed Cole z misją ratunkową. Po raz kolejny. Jednak nie sądziła, aby tym razem potrzebowała ratunku.

- Najwyraźniej się myliłem. - Jed uznał jej milczenie za naganę - ale i tak potrzebne są ci prezenty, prawda? - Tak, były jej potrzebne i nie musiała już wślizgiwać się po nie do jego sypialni. - Na litość boską, Meg, powiesz coś wreszcie? - wybuchnął zniecierpliwiony.

Spokojnie popatrzyła mu w oczy.

- Dziękuję. Teraz już sobie poradzę.

- To wszystko? - spytał, gwałtownie wsuwając ręce w kieszenie dżinsów. - Ledwo odzywałaś się do mnie przez cały wieczór, a teraz odprawiasz mnie niczym pomoc domową.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Jedyna pomoc domowa, z jaką miałam do czynienia, to pani Sykes, nasza kucharka, a ponieważ spędziliśmy ze Scottem bardzo przyjemną godzinę u niej w kuchni, nie zgadzam się z takim oskarżeniem. Ona jest jakby członkiem rodziny.

- Czego nie można powiedzieć o mnie - warknął. Potrząsnęła z irytacją głową.

- Sądziłam, że zależy ci na zachowaniu dystansu między nami?  
Nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Robisz to specjalnie? - rzucił oskarżycielsko.

- Żeby odplacić mi za to, że byłem wobec ciebie brutalnie szczery.  
Na to wspomnienie rumieniec pokrył jej policzki.

- Myślę, że wypiliśmy za dużo wina i brandy.

- Och, oczywiście, że tak - odpowiedział z irytacją.

- Co niby miałem robić, kiedy ledwo raczyłaś zwrócić uwagę, że siedziałem przy tobie podczas kolacji?

- Nie zdawałam sobie sprawy, że to robię.

- Doprowadzałaś mnie do szaleństwa... To właśnie robiłaś! - Złapał ją za ramiona i lekko potrząsnął.

- Ślicznie ci w tej sukience. Nie wiem, jak udało mi się utrzymać ręce przy sobie podczas kolacji. Miałem ochotę zgarnąć wszystko ze stołu i kochać się na nim z tobą.

Uśmiechnęła się przekornie.

- Jestem pewna, że mojej rodzinie spodobałoby się to przedstawienie.

Jed odpowiedział jej ironicznym uśmiechem.

- Nie jestem pewien, czybym się tym przejął.

Nie mogła zrozumieć tego faceta. Najpierw odpycha ją gadaniną o wrocławskim trybie życia, a zaraz potem mówi, jak bardzo pragnął się z nią kochać. Ale może sam siebie nie rozumiał.

- Już późno, Jed. - Potrząsnęła głową. - Jestem pewna, że rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

Kiedy nieco wytrzeźwiejesz. Zdjął dłonie z jej ramion.

- Jeśli śnieg trochę stopnieje, wyjadę jutro - odpowiedział stanowczo.

- Jak zamierzasz to wyjaśnić rodzinie?

Dlaczego miała o tym myśleć? Przecież to on dawał członkom jej rodziny do zrozumienia, że stanowią parę, nie ona. Zaciśnęła usta.

- Jestem pewna, że do jutra wymyślisz, co im powiesz. A teraz może byś już sobie poszedł? - ponagliła, ściszej głoś, gdy Scott poruszył się niespokojnie w łóżku.

Scott spał jak kamień i gdy raz zasnął, niewiele mogło go obudzić, ale zbyt wiele osób odwiedziło ją tego wieczoru. Poza tym potrzebowała trochę samotności, aby przemyśleć różne sprawy.

- Dobrze, już idę - zgodził się niechętnie. - Ale doprowadzasz mnie do szaleństwa - mruknął, stanąwszy na chwilę w drzwiach.

- Bardzo mi przykro - westchnęła.

Skinął głową. Zaczęła znowu oddychać, gdy wrócił do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Jej sypialnia z lat dzieciennych, którą zajmowała aż do wyjazdu do Londynu, znajdowała się po drugiej stronie domu. Nie zmieniała w niej nic od czasów, gdy była nastolatką. Puchary i rozetki, zdobyte podczas zawodów jeździeckich, ustawione wzdłuż jednej ściany, na drugiej

niektóre z jej dziecinnych rysunków, wielki regał z książkami, które czytywała jako dziecko i z którymi nie chciała się rozstać. Bez wątpienia, teraz już ich tam nie było, tak jak i innych rzeczy, które świadczyły, że jest to jej pokój.

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy tęsknoty za tymi beztruskimi dniami, kiedy najtrudniejszą decyzją był wybór koloru żakietu do jazdy konnej.

Jed miał rację: im szybciej nastąpi odwilż i będzie mogła odjechać, tym lepiej zacznie się czuć.

Jed nie miał pojęcia, która jest godzina, a nawet gdzie się znajduje, tak pochłonoło go pisanie.

Nie wiedział dlaczego ani jak to się stało, ale gdy o pierwszej w nocy - nie mogąc zasnąć - przemierzał niespokojnie sypialnię, w domu należącym do rodziny przeżywającej tyle problemów emocjonalnych, że nie był w stanie ich ogarnąć, nagle objawił mu się pomysł do nowej książki. Nie był to wątek, nad którym pracował bez specjalnego zapału przez ostatnie pół roku, lecz całkowicie nowy, który należało od razu zanotować.

Bez większego trudu odszukał bibliotekę Davida Hamiltona, usiadł przy biurku i zaczął wypełniać kartkę po kartce; wewnętrzny głos mówił mu, że ta książka będzie równie dobra - jeśli nie lepsza - jak *Łamigłówa*.

Może potrzebował właśnie fizycznego niezaspokożenia, by jego mózg znowu stał się płodny.

Bo był niezaspokojony. Pragnął Meg. Pragnął jej mocniej niż jakiegokolwiek kobiety przez całe życie. Ale nie zdobędzie jej, było to tak pewne jak to, że nie przewidywano na jutro odwilży.

Bądź optymistą, powiedział sobie ze zdecydowaniem. Przynajmniej znowu piszesz.

Uniósł głowę, gdy nagle zgasło światło w bibliotece, pogrążając go w całkowitych ciemnościach.

- Co?

Światło zapaliło się tak samo niespodziewanie, jak zostało wyłączone.

David wszedł do środka, uśmiechając się przeprasząco.

- Bardzo przepraszam, Jed. Nie wiedziałem, że znajdę kogoś w bibliotece. Pomyślałem sobie, że zapomniano zgasić światło. - Stał obok biurka, miał na sobie szlafrok narzucony na piżamę w kolorze czerwonego wina. - Przepraszam, przerwałem ci? - Spojrzał z zaciekawieniem na stos pokrytych gryzmołami kartek.

Jed usiadł prosto, żeby rozluźnić zmęczone mięśnie ramion.

- Chyba i tak przyda mi się przerwa. - Skrzywił się, gdy zegar w holu wybił godzinę czwartą. Pracował bez przerwy trzy godziny - zadziwiające, po tylu bezpłodnych miesiącach.

- Brandy? - David podniósł karafkę i napełnił dwa kieliszki. - Właściwie nie wolno mi pić alkoholu - stwierdził z pewnym zawstydzeniem, gdy usadowili się wygodnie w fotelach przy kominku. - Ale gdybym przestał robić wszystko, czego zabraniają mi lekarze, moje życie byłoby naprawdę nieszczęśliwe. Niestety, wydaje się, że niewiele mogę poradzić na bezsenność. Chociaż to czasem pomaga. - Upił trochę brandy.

- Czy Meg już śpi? - spytał łagodnie.

Marszcząc brwi, Jed przyglądał się intensywnie brązowemu płynowi w lampce, którą trzymał w obu dłoniach.

- Sprawy... nie zawsze są takie, na jakie wyglądają - powiedział powoli i spojrzał starszemu mężczyźnie w oczy.

David uśmiechnął się.

- Chyba coś podobnego usłyszałem dzisiaj wieczoru od Meg. Jed uniósł brwi.

- Na ten sam temat? - spytał ostrożnie. Starszy pan uśmiechnął się szerzej.

- Nie pytam swoich córek o ich osobiste sprawy. Jed rzucił mu ponure spojrzenie.

- A co z ich mężczyznami?

- No cóż, to inna sprawa - odpowiedział z ironią Hamilton i zaśmiał się, widząc zakłopotaną minę Jeda. - Nie zamierzam pytać, jakie masz zamiary wobec Meg, jeśli tego się obawiasz - zapewnił go pogodnie. - Z pewnością jest na tyle dojrzała, że wie, co robi.

Chciałby móc powiedzieć to samo o sobie.

Z jednej strony pragnął uciec jak najszybciej i jak najdalej od Meg, z drugiej - chciałby zamknąć się z nią w sypialni na tydzień, żeby mogli sycić się sobą. Choć nie sądził, by mądrze było dzielić się tą myślą z jej ojcem.

- A teraz sądzę, że czas już, abym wrócił do łóżka. - David wysączył resztkę brandy i wstał. - Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, małe dzieci mają skłonność do bardzo wczesnego wstawania w Boże Narodzenie.

Jed miał okazję przekonać się o tym kilka godzin później, kiedy odwieczny okrzyk: „Mamusiu, mamusiu, Mikołaj tu był!” dobiegł z sąsiedniej sypialni. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie podniecenie Scotta na widok worka z prezentami.

Nachmurzył się jednak z lekka, gdy zobaczył, że jest dopiero wpół do siódmej; spał zaledwie dwie godziny.

Oczywiście, sam był sobie winien, choć nie wyszedł na tym źle, gdyż napisał cały pierwszy rozdział nowej książki i miał już zarys całości. Potrzebował tylko czasu, by usiąść i wszystko spisać. Tylko. Przez ostatnie dwa miesiące spędzone w Anglii miał mnóstwo czasu, ale nie napisał niczego, co warte było czytania.

- Och, mamusiu, zobacz, co przyniósł mi Mikołaj. - W głosie Scotta dźwięczał nabożny zachwyt. - Dokładnie taki sam widziałem w sklepie i opisałem w liście do Świętego Mikołaja.

Nie da rady, pomyślał Jed, nie mógł dłużej tak leżeć i słuchać przez ścianę podnieconych okrzyków Scotta. Musiał być częścią tego, co działo się w sąsiednim pokoju.

Jaskrawoczerwony worek, który minionej nocy wisiał pusty w nogach łóżka Scotta, leżał teraz na podłodze, a chłopiec z zapalem grzebał w wypychających go prezentach. ,

Meg uniosła głowę i przywitała Jeda uśmiechem.

- Odwiedził nas Święty Mikołaj. - Uśmiechnęła się czule do nieposiadającego się z radości synka.

- Spójrz, Jed! - Scott uniół jeden z prezentów, który już rozpakował. Najwyraźniej to on wywołał wcześniej jego zachwyt: czerwony traktor z przyczepą, zawierającą kilka dziwnie wyglądających plastikowych świnek.

- Hej, to cudowne, kolego. - Z szerokim uśmiechem usiadł na podłodze i zwichrzył ciemne loki chłopczyka. - Chcesz, przyniosę ci filiżankę kawy? - zwrócił się cicho do Meg, gdy Scott zaczął rozrywać papier na kolejnym pakunku.

Zareagowała zdziwieniem i Jed zrozumiał, że mieszkając tylko ze Scottem, nieczęsto spotykała się z taką propozycją. Może nigdy. Nadal nie wierzył, że wdawała się w niezobowiązujące romanse - Meg Hamilton miała wprost wypisane na twarzy „stały związek lub nic”. Dlatego budziła w nim taki lęk.

Potrząsnęła głową.

- Zostań i ciesz się - zachęciła go. - Nie ma nic przyjemniejszego od widoku dziecka w bożonarodzeniowy ranek.

Miała rację. Jed i Meg siedzieli pośród prezentów i opakowań, gdy pół godziny później Scott znalazł i rozwinął główny prezent, spoczywający na samym spodzie wielkiego worka. Na kilka chwil odebrało mu mowę.

- To farma, mamusiu - wysapał w końcu z niedowierzaniem. - Prawdziwa farma. - Malutkie paluszki z nabożeństwem dotykały budynków, obory, ogrodzenia i różnych zwierząt.

Jed zobaczył, że Meg powstrzymuje łzy na widok zachwyty na twarzy syna. Jego też coś ścisnęło w gardle, a jednocześnie czuł wdzięczność dla Meg, że pozwoliła, aby dzielił z nią to przeżycie.

Wstał gwałtownie, uświadomiwszy sobie, co się z nim dzieje. Nie mógł chyba... Do diabła, przecież znał tę kobietę dopiero od trzydziestu sześciu godzin.

Ale gdy spojrział na kruczoczną głowę Meg, jej długie włosy spływające na ramiona, twarz bez śladu makijażu, ciało zamaskowane koszmarem piżamą, wiedział, że urzeczywistniły się jego najgorsze obawy. Zaczynał się zakochiwać.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Meg zerknęła na stojącego obok niej Jeda. Zmarszczyła brwi, widząc nagły chłód na jego twarzy.

- Co się stało?

- Pójdę po tę kawę - uciał ostro, odsunął się gwałtownie i ruszył ku drzwiom.

Przyglądała mu się i zastanawiała, co spowodowało tak szybki odwrót. Może rozmowa o farmie Scotta obudziła w nim tęsknotę za rodziną. A może, co bardziej prawdopodobne, miał już na dziś dość życia rodzinnego. Albo po prostu potrzebował porannej dawki kofeiny.

Jakiegokolwiek były te powody, bardzo wątpiła, czy Jed ma zamiar z nich się zwierzać.

No i nie będzie mógł dziś odjechać. Przekonała się o tym, gdy zostawiła Scotta zajętego swoją farmą i podeszła do okna. Jak okiem sięgnąć, gruba warstwa śniegu pokrywała ziemię niczym olbrzymi biały koc, piękny w swojej bieli, ale całkowicie uniemożliwiający podróż.

Czy Jed miał na to ochotę, czy nie, był skazany na przebywanie z nimi przez kolejny dzień.

I najwyraźniej wcale mu się to nie podobało. Nie odzywał się, gdy Meg ze Scottem schodziła na dół. Tak samo ściszony był podczas śniadania, kiedy wszyscy nakładali sobie jedzenie z mnóstwa półmisek wystawionych w jadalni.

Sama też nie miała nastroju do konwersacji z Sonią, która podeszła i usiadła przy niej.

Nadal nie wiedziała, jak ma się zachować po ostatniej rozmowie z siostrą. Och, nie chciała, aby istniało między nimi napięcie, jej także brakowało ich dawnej bliskości. Ale wiedziała, że nie będą w stanie jej odbudować, zbyt wiele spraw je dzieliło.

- Może byśmy poszli wszyscy na spacer po śniadaniu? - rzuciła pogodnie Sonia. - Scott będzie miał okazję wypróbować swoje sanki - dodała zachęcająco, gdy nikt nie zareagował na jej propozycję.

Meg musiała przyznać, że osłupiała, kiedy zeszła ze Scottem na dół, a wuj Jeremy i ciocia Sonia spytali, czy mogą od razu wręczyć mu swój prezent.

Zwykle zgromadzone pod choinką prezenty - dary od członków rodziny, nie od Świętego Mikołaja - rozpakowywano wczesnym wieczorem w Boże Narodzenie, tuż przed kolacją.

Ale Jeremy wyjaśnił, że ten prezent bardziej przyda się Scottowi teraz niż wieczorem.

Musiała przyznać mu rację, kiedy Scott rozdarł papier i odsłonił drewniane sanki ze lśniącymi płozami. Synek nie posiadał się ze szczęścia na ten widok.

Zachwył Scotta był oczywisty, ona jednak nie była pewna, jak powinna zareagować na tak kosztowny prezent.

- Wspaniały pomysł - pochwalił ojciec. - Na tyłach domu jest nieduża górka, wprost idealna do zjeżdżania na sankach.

- Doprawdy, Davidzie, nie sędzę, że to dobry pomysł, żebyś....

- Lydio, nie mam zamiaru sam ciągnąć sanek - ojciec uciał protest matki. - To jasne, że Jeremy też odpada z powodu skręconej nogi, ale jestem pewien, że Jed chętnie się poświęci - zwrócił się do gościa z uśmiechem.

- Brzmi obiecująco. - Jed skinął głową. - Meg? - Rzucił jej nieprzeniknione spojrzenie ponad stołem.

Co za sytuacja... Nie mogła odmówić, żeby nie zepsuć Scottowi przyjemności, choć jakaś jej część gorąco tego pragnęła.

Przez trzy i pół roku ta rodzina niemal całkowicie ignorowała istnienie Scotta, a teraz wszyscy skakali wokół niego, jak gdyby był jej najważniejszym członkiem. Trudno było do tego przywyknąć.

Nie wiedziała, czego właściwie spodziewała się po tej trzydniowej wizycie, ale z pewnością nie tego.

- Tak, oczywiście, możemy iść na sanki - odpowiedziała szybko, zorientowawszy się, że Jed nadal czeka na odpowiedź.

Synek wydał okrzyk radości, uścisnął ją i zaczął szybko jeść śniadanie; chciał jak najprędzej wyjść na dwór i rozpocząć zabawę.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? - Jed dogonił ją, gdy szła na górę po okrycia dla siebie i Scotta.

Spojrzała na niego ostro, gdy się z nią zrównał. Najwidoczniej on też udawał się po swoją kurtkę.

- Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym mieć?

- Nie mam pojęcia - westchnął. - Po prostu zdawało mi się, że zauważyłem wahanie z twojej strony.

Ale moim zdaniem, jest to pierwsza normalna rzecz, którą zrobiła twoja rodzina, odkąd tu jestem.

- A co mogą teraz robić twoi bliscy? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Śpią, jak sądzę. Pamiętaj, że różnica czasu wynosi kilka godzin - dorzucił żartobliwie.

- Zupełnie o tym zapomniałam. - Uśmiechnęła się lekko. - Może chciałbyś do nich później zadzwonić? Żeby życzyć im wesołych świąt?

Jestem pewna, że rodzicom będzie bardzo miło, jeśli skorzystasz z ich telefonu.

- Dziękuję. - Skinął głową. - Pomyślę o tym. Skrzywiła się.

- Niestety, nie mam dla ciebie żadnego podarunku pod choinkę.

- Wszystko w porządku. Ja też nie mam nic dla ciebie - odpowiedział kpiąco, gdy szli w kierunku swoich pokoi. - Skąd moglibyśmy wziąć prezenty? - dorzucił szorstko. - Jeszcze dwa dni temu się nie znaliśmy.

Zatrzymała się z dłonią na klamce i spojrzała na niego niepewnie.

- Jed, jeśli obraziłam cię dziś w jakiś sposób...

- Dlaczego dzisiejszy dzień miałby być inny? - przerwał jej z ironią. - Obrażamy się nawzajem w taki lub inny sposób od chwili, gdy się spotkaliśmy.

Zmarszczyła z namysłem brwi. Niezupełnie tak było. A może? To prawda, od czasu do czasu ścierali się i warczeli na siebie, ale pomiędzy tymi utarczkami i powarkiwaniem rzucali się sobie w ramiona.

- Nie martw się tym, Meg - poradził Jed, uśmiechając się smutno. - Przecież mamy dziś Boże Narodzenie.

Tak, i jeśli nie brać pod uwagę Jeda, było to lepsze Boże Narodzenie, niż mogła przypuszczać, wyjeżdżając przed dwoma dniami z Londynu.

Dwa dni. Tak krótko знаła tego mężczyznę. A jednak wiedziała już, że kiedy odjedzie, zostawi w jej życiu wielką pustkę.

Poczuła, że blednie, i otworzyła szeroko oczy, gdyż nagle uświadomiła sobie prawdę.

Zaczynała kochać Jeda Cole'a. O ile już go nie kochała. I bez wątpienia był to najbardziej lekkomyślny postępek w jej życiu.

Wstąpiła do akademii sztuk pięknych wbrew oporowi matki, zatrzymała Scotta pomimo jeszcze większego oporu, a teraz udało jej się

zakochać w mężczyźnie, który był dla niej całkowicie nieosiągalny. Całkowicie nieosiągalny dla każdej kobiety, sądząc z tego, co powiedział jej wczoraj, i z faktu, że w wieku trzydziestu ośmiu lat był nadal kawalerem.

- Dobrze się czujesz? - Jed przyglądał się jej z troską, uważnie badając wzrokiem jej bladą twarz.

Nie, z pewnością nie czuła się dobrze, może nigdy nie będzie czuła się dobrze, skoro była na tyle głupia, by zakochać się w tym facecie.

Ale to była jej głupota i nie zamierzała nikomu o niej mówić. Będzie miała dość czasu, by się litować nad sobą, gdy Jed odjedzie.

- Sądzę, że za wcześnie wstałam - odpowiedziała lekceważąco, potrząsając głową. - Sonia ma rację, wszystkim nam potrzebny jest spacer na świeżym powietrzu.

Jed obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem.

- Wszystko pomiędzy wami w porządku? Zauważyłem, że podczas śniadania bardziej przyjaźnie odnosiłyście się do siebie.

Chciałaby porozmawiać z kimś o powodach ochłodzenia ich stosunków, spytać, co powinna zrobić. Ale dawno temu złożyła obietnicę, podobnie jak Sonia, i nie mogła jej złamać. Zbyt wiele osób mogłaby tym zranić.

- Sprawy wyglądają... lepiej - odpowiedziała ostrożnie. - Dziękuję, że o to spytałeś.

- To dobrze. - Skinął z aprobatą głową. Nie próbował wejść do swego pokoju, lecz nadal przyglądał się jej czujnie.

- Czekają na nas na dole - odezwała się schrypniętym głosem.

- Tak. - Nie ruszył się jednak.

- Czekaj cię ciągnięcie sanek pod górę - przypomniała mu kpiąco.

Wykrzywił usta w uśmiechu.

- Widziałaś wyraz twarzy Scotta, gdy rozpakował swój prezent i zobaczył sanki?

Tak, widziała. I zdenerwowało ją to. Jeśli Sonia wyobrażała sobie, że bycie ciotką polega na obsypywaniu Scotta drogimi prezentami, to nic z tego nie będzie.

- Przecież o to właśnie chodzi, prawda? - Jed przerwał jej milczenie.

- Święta i dzieci.

Istotnie, i może była niesprawiedliwa wobec siostry.

- Sonia chce być wreszcie ciotką dla Scotta. Dopiero słysząc te słowa, uświadomiła sobie, że je wypowiedziała na głos. Przygryzła dolną wargę. Jed spojrzał na nią uważnie.

- To ci przeszkadza?

Złapała szybko oddech i wyprostowała ramiona, zanim mu odpowiedziała.

- Nie, oczywiście, że nie. - Nacisnęła w końcu klamkę i otworzyła drzwi. - Nareszcie jedna wielka, szczęśliwa rodzina. - To nie zabrzmiało dobrze.

Znając Jeda, można było się spodziewać, że to podchwyci. Mocniej zmarszczył brwi.

- Meg... o co....

- Naprawdę musimy zejść na dół. - Rzuciła mu szeroki, nieszczerzy uśmiech, weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Nic nie działo się tak, jak oczekiwała.

- Potrzebujesz pomocy, Lydio? - zaproponował Jed.

Pani Hamilton została z tyłu za wdrapującymi się na górkę. Trójka z nich była już prawie na szczycie. Meg i Scott uparli się, że będą ciągnąć

sanki, Sonia popychała je z tyłu. Scott cały czas paplał z podnieceniem. David i Jeremy stali na dole, aby łapać zjeżdżających.

Jed musiał przyznać, że był zaskoczony, kiedy dowiedział się, że Lydia zdecydowała się dołączyć do wyprawy. Wydawało się, że należy do osób, które zostają w domu, w cieple, i najwyżej wyglądają przez okno.

- Dziękuję, Jed. - Ujęła go z wdzięcznością pod ramię, gdyż jej modne buty nie nadawały się do wspinaczki po śliskim, ośnieżonym zboczu. - David to robił, kiedy dziewczynki były małe - ciągnęła z przymusem.

- Naprawdę? - Zauważył, że nie powiedziała: „David i ja”. Tylko: „David”.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, jak gdyby wyczuła jego niewypowiedziane pytanie. Ubrana była ciepło, w długi płaszcz i czapkę.

- Zwykle zostawałam w domu i czekałam, żeby ich osuszyć i podać ciepłe napoje, kiedy wrócą.

Jej głos miał prawie tęskne brzmienie, jak gdyby pragnęła powrotu tamtych dni, kiedy jej córki były małe, a życie - mniej skomplikowane.

- Dzisiaj jednak zdobyłaś się na wysiłek - stwierdził lekkim tonem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ocenił jej niewłaściwie.

Kiedy na chwilę odchyliła się ta wyniosła maska, zobaczył bardzo samotną kobietę, która zawsze stała na zewnątrz rodzinnego kręgu, zaglądając do środka, jakby lękała się zawartych w nim uczuć.

A może tylko wyobraził to sobie, pomyślał z żalem, kiedy doszli na szczyt i Lydia Hamilton znowu schowała się za swoją maską, rozpoczynając rozmowę z Sonią o wspólnych znajomych z Londynu, nie zwracając niemal uwagi na wnuka, szykującego się do swojej pierwszej jazdy sankami.

- Gotowy? - ponagliła go Meg. Scott siedział już na sankach, a Jed został wybrany do pierwszego wspólnego zjazdu.

Meg wyglądała wspaniale. Nosiła buty do kostek i džinsy, krótką, grubą kurtkę włożoną na zielony sweter, czerwoną wełnianą czapkę, wciśniętą na uszy. Włosy miała rozpuszczone, policzki zarumienione od wspinaczki, zielone oczy lśniły radością. Zdał sobie sprawę, że poczuł fizyczny ból, gdy spojrzał na nią, a potem na identycznie ubranego Scotta, z którego oczu tryskało podniecenie.

Każdy, kto patrzyłby na tę trójkę, miałby prawo wziąć ich za prawdziwą rodzinę, uznać, że ta kobieta należy do niego, podobnie jak malec.

I tak reagował Jed Cole, który nigdy nie brał pod uwagę stałego związku z żadną z kobiet, łączących go przez te wszystkie lata, nie mówiąc już o posiadaniu dzieci. Który zapewniał matkę - ilekroć żartowała sobie z jego kawalerskiego stanu, czyli za każdym razem, gdy przyjeżdżał do domu - że miała już dość wnuków, więc on nie musi przyczyniać się do zwiększenia ich liczby.

Nie miał wątpliwości, że matka polubiłaby Meg. I Scotta też. Że po prostu przygarnęłaby ich oboje i... Weź się w garść, Cole, skarcił się w duchu.

Mógł nie wierzyć Meg, gdy mówiła, że każdy jej związek byłby krótkotrwały, ale nie można było wątpić w szczerść twierdzenia, że nie zamierzała angażować się poważnie. Czy nie byłaby to ironia losu, gdyby po latach unikania małżeńskiej pułapki, zakochał się w kobiecie, która wcale nie zamierzała za niego wyjść?



Nie... to wcale nie byłoby zabawne. Miłość nie jest powodem do śmiechu. Naprawdę powinien wziąć się w garść, złapać szkic pierwszego rozdziału książki i zwiewać stąd najszybciej, jak potrafi.

Ale na razie oparł swoje długie nogi na płozach sanek, po obu stronach Scotta. Odepchnął się stopami; objął go mocno ramionami w pasie, gdy zaczęli zjeżdżać w dół. Zimny wiatr owiewał mu twarz, radosne okrzyki Scotta odbijały się echem w uszach, szeroki, niepohamowany uśmiech pojawił się na jego ustach. Obaj śmiali się jak szaleni, gdy David i Jeremy zatrzymali ich sanki u podnóża pagórka.

Godzinę później Jed uświadomił sobie, że świetnie się bawi. Całą duszą, bez śladu napięcia, które odczuwał, przebywając w domu Hamiltonów. Nawet Sonia zjechała na sankach, ale żadne namowy nie mogły skłonić Lydii, by też to zrobiła.

- To była świetna zabawa - zaśmiała się Sonia, gdy parę godzin później wracali do domu. Szła obok niego, nie była już tak wymuskana, fryzura oklapła jej pod czapką, na ustach nie miała szminki - i zdaniem Jeda wyglądała o wiele lepiej. Bardziej przypominała Meg.

- To był wspaniały prezent - powiedział gładko.

- Oczywiście, bardzo niepraktyczny w warunkach londyńskich. - Sonia przeczesła palcami przyklepane włosy. - Ale jestem pewna, że mama i tatko z radością przechowają sanki dla Scotta, do następnej wizyty.

Uniósł brwi.

- Więc sądzisz, że będą dalsze wizyty? Uśmiech Soni zbladł lekko.

- Mam nadzieję. - Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Nie bardzo mnie lubisz, prawda? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Wzruszył ramionami.

- Nie znam cię. - Chociaż wydawało mu się, że nie było w niej wiele do poznania, że nie miała takiej głębi charakteru jak Meg.

- Nie, to oczywiste. - Zaśmiała się gardłowo.

- Z nas dwóch Meg jest o wiele miłsza - dorzuciła niewesoło. - Właściwsze określenie to... wyjątkowa. Tak, Meg jest wyjątkowa. - Zmarszczyła lekko czoło.

- Zasługuje na szczęście.

Teraz Jed uniósł brwi.

- Ostrzegasz mnie, żebym nie skrzywdził twojej siostry?

Odwzajemniła bez mrugnięcia okiem jego spojrzenie.

- A muszę?

- Przyszło ci do głowy, że może to ona mnie skrzywdzi? - Próbował nie odpowiadać wprost na jej pytanie.

Sonia skwitowała tę sugestię pogardliwym prychnięciem.

- Meg przez całe życie nikogo nie skrzywdziła.

- Położyła mu dłoń na ramieniu. - I myślę, że przy takim człowieku jak ty nie muszę martwić się o serce mojej siostry.

- Naprawdę? - Zanim jednak zdążyła mu odpowiedzieć, pomiędzy nimi ze świstem przeleciała śnieżka i zderzyła się kilka stóp dalej z szerokimi plecami Jeremy'ego.

- Kto to zrobił?! - zawołał Jeremy, odwracając się.

Oczy mu się śmiały, gdy schylił się, żeby zebrać trochę śniegu, gotów do odwetu.

- Nie mogę skłamać. - Meg śmiała się, ciągnąc sanki ze Scottem. - To był Jed.

Jed się odwrócił.

- Och, ty mała... - Nie dokończył, gdyż śnieżka trafiła go w tył głowy.

Teraz rozpętała się prawdziwa bójka, śnieżki latały w powietrzu, nawet Lydia włączyła się do akcji, gdy przypadkowo rzucona przez Scotta śniegowa kula trafiła ją prosto w pierś. Nie włożyła w to serca, jej śnieżka upadła z dala od celu, ale przynajmniej próbowała.

- Myślę, że wszystkim przyda się gorąca czekolada - oznajmiła, gdy znaleźli się w domu, zmęczeni, przemoczeni, ale rozradowani.

- Przepraszam. - Meg podeszła do Jeda, który stał przy oknie w salonie, przyglądając się smutnemu, lecz pięknemu krajobrazowi. - To taka gra, w którą bawiłyśmy się z Sonią jako dzieci: jeśli poprzedziłyśmy zdanie słowami „nie mogę skłamać”, wiedziałyśmy, że to kłamstwo - wyjaśniła, zanim upiła łyk gorącej czekolady. - O czym rozmawialiście? - spytała lekko.

Lekko. Czujnie. Jak gdyby jego odpowiedź była ważna.

- O tym i o owym - odpowiedział wymijająco, nadal wyglądając przez okno. Wyczuł, że Meg obrzuciła go szybkim, uważnym spojrzeniem.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że macie wiele wspólnego ze sobą - stwierdziła w końcu, nadal z tą samą lekkością. I znowu Jed wyczuł napięcie za tymi słowami.

- Niezbyt wiele - przyznał kpiąco, patrząc na nią.

- Więc o czym rozmawialiście?

Tak, z pewnością instynkt go nie mylił: Meg denerwowała się jego rozmową z Sonią. Ale dlaczego? Odwrócił się teraz do niej przodem, musiał patrzeć jej w twarz, aby właściwie ocenić reakcję.

- Głównie o tobie - szepnął miękko. Zauważył błysk niepokoju w jej oczach, ponownie zamaskowany tym zagadkowym uśmiechem.

- O mnie? - Wydawała się zdziwiona. - Co też Sonia mogłaby ci o mnie powiedzieć?

Zachowanie Meg sprawiało, że czuł się nieswojo. Wymuszonej beztrosce zadawały kłam dłonie tak mocno zaciśnięte na kubku z gorącą czekoladą, że aż kostki pobielaly.

Słowa, które teraz padły z jego ust, nie były zamierzone, podsunał je instynkt.

- Meg, co to za tajemnica, którą ukrywacie z Sonią? Tak wielka, że was rozdzieliła?

Wiedział, że trafił w sedno, gdy zobaczył, że twarz Meg nagle blednie, a w jej zielonych oczach miejsce niepokoju zajmuje prawdziwe przerażenie.

Czuł, że gdyby ta tajemnica została wyjawiona, stanowiłaby klucz do wszystkich ukrywanych problemów tej rodziny.

Ale nie miał pojęcia, o co chodziło.

Co mogło być tak ważne, tak istotne, że rozdzieliło Meg z rodziną od czasu narodzin Scotta? I przez cały ten czas nastawiało siostrę przeciwko siostrze.

Jed odwrócił się i spojrzał przez pokój na chłopczyka, który siedział na dywanie, bawiąc się swoją farmą, z dziadkiem u boku. Obaj z ożywieniem ustawiali zwierzęta w odpowiednich zagrodach i na polach. Czyżby odpowiedzią miał być ten niewinny mały chłopiec, taki drobny i beztroski?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Meg zauważyła spojrzenie, które Jed skierował na Scotta. Przyglądał mu się z namysłem. Musiała odwrócić jego uwagę od synka i ściągnąć ją znowu na siebie.

- Myślę, że ktoś dodał whisky do twojej czekolady - zakpiła. - Albo nareszcie przełamałeś pisarską blokadę i teraz ponosi cię wyobraźnia.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Prawdę mówiąc, spędziłem połowę nocy na pisaniu - powiedział powoli.

- Tu cię mam - uśmiechnęła się figlarnie. - Pobudzona wyobraźnia i brak snu. I pewnie jesteś głodny po tym porannym saneczkowaniu.

Odczuła ulgę, kiedy zawołano ich na lunch. Siedziała pomiędzy Scottem i swoim ojcem. Jed zajął miejsce po drugiej stronie Scotta, nie miał więc okazji, by znowu wciągnąć ją w rozmowę na tematy osobiste.

Dwie godziny później, objedzeni indykiem i świątecznym puddingiem oraz opici białym winem biesiadnicy zaczęli przysypiać w swoich fotelach, nawet Scott zdrzemnął się na kolanach dziadka, ale Jed wymknął się na górę, jak tylko skończył się posiłek. Meg skorzystała z okazji i oddaliła się na chwilę.

Była zbyt niespokojna, by spać, zeszła więc do kuchni, by wypić filiżankę kawy z Bessie Sykes. Znajome ciepło kuchni przypomniało jej o czasach, kiedy wpadała tu jako dziecko.

Może dlatego całkiem naturalne wydało się jej odwiedzenie pokoju, który był kiedyś jej sypialnią. Była ciekawa, co matka z nią zrobiła. Chciała sprawdzić, czy przekształciła ją w jeszcze jeden pokój gościnny, a

może w rupieciarnię, w której przechowywano niepotrzebne meble, do czasu, gdy znowu mogły być użyteczne.

Myliła się, żadne z tych przypuszczeń nie było prawdziwe.

Pokój wyglądał tak samo jak ostatnim razem, kiedy go widziała, ponad trzy lata temu.

Pobladła ze zdumienia, weszła niepewnie do środka. Drżącą dłonią dotknęła pozytywki na przykrytej koronkową serwetą toaletce, uniosła pokrywkę, by patrzeć, jak złoty jednorożec obraca się w rytmie muzyki.

Nigdzie nie było kurzu, pajęczyn, żadnego świadectwa zaniedbania; pokój wyglądał, jakby czekał na jej powrót.

Zamknęła z roztargnieniem pozytywkę i podeszła do łóżka. Potpourri na nocnym stoliku zapachniało świeżymi różami, gdy je dotknęła.

Kolana ugięły się pod nią, usiadła nagle na skraju łóżka i rozejrzała się dokoła. Nic nie rozumiała.

Co to miało znaczyć? Dlaczego jej matka, tak chłodna i obojętna - choć dziś nieco odmieniona - nie tylko zawracała sobie głowę dbaniem, by pokój Meg wyglądał jak dawniej, ale jeszcze pilnowała, aby...

- Czy to twoja sypialnia?

Meg była tak oszołomiona swoim odkryciem, że zdołała tylko odwrócić powoli głowę w kierunku Jeda. Przytaknęła, nadal czując odrętwienie.

Wszedł do pokoju, tak jak to ona zrobiła kilka minut temu. Zatrzymał się przy wystawionych na regale pucharach i rozetkach, które zdobyła przed laty.

Odrzucił się i spojrzał na nią; z jego wzroku trudno było coś wyczytać.

- Nadal jeździsz konno? Pokręciła głową.

- Nie w ostatnich czasach, w Londynie nie ma ku temu zbyt wielu okazji.

- Może powinnaś do tego wrócić, najwyraźniej byłaś w tym dobra. Jestem pewien, że Scott bardzo by się cieszył z nauki jazdy.

- Możliwe - zgodziła się z roztargnieniem. Powoli wychodziła z szoku.

- Schodziłem właśnie na dół, by sprawdzić, czy uda mi się dostać od pani Sykes filiżankę kawy - wyjaśnił. - I zobaczyłem, jak przechodzisz przez korytarz. Poszedłem za tobą. Pomyślałem, że może przydać ci się towarzystwo... Myliłem się? - dorzucił.

Zacisnęła dłoń na koronkowej narzucie.

- Nie, nie myliłeś się. Myślałam... myślałam, że tego wszystkiego... - wskazała gestem piękny, kobiecy pokój - ...że tego już nie ma. - Zamrugnęła, powstrzymując łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

- Tymczasem przekonałaś się, że pokój wygląda tak, jak go zostawiłaś?

Podszedł i usiadł przy niej na łóżku.

- Co to znaczy, Jed? - wykrztusiła, walcząc ze łzami. Wiedziała, że nie udało jej się to, gdyż poczuła ich ciepło na policzkach.

Wyciągnął rękę i czule otarł jej łzy.

- To znaczy, jak sędzę - odpowiedział zachrypniętym głosem - że twoja matka jest bardzo skomplikowaną i uczuciową kobietą, którą tylko twój ojciec naprawdę rozumie. Jest inna niż ty. Jakikolwiek są jej uczucia, doskonale je ukrywa.

Sonia też twierdziła, że jest inna niż ona. A jednak w ostatnich dniach Meg spostrzegła w matce i siostrze uczucie, do którego, jak sądziła,

nie były zdolne. To uczucie to miłość. Może nie okazywały go otwarcie, jak to robiła Meg, ale potrafiły kochać.

Tak jak ona kochała Jeda, uświadomiła sobie z zaskakującą jasnością.

Kochała jego wygląd, poczucie humoru, sposób, w jaki żartował ze Scotta, jednocześnie traktując go łagodnie, zrozumienie, które okazywał jej rodzicom, ciepło, z jakim mówił o swojej rodzinie. Ale przede wszystkim kochała jego samego, stanowczość, którą okazywał, gdy należało, umiejętność sprawiania, że kłopoty wydawały się błahostkami. I sposób, w jaki ją całował. Jęknęła, gdy znowu zaczął to robić.

Był taki wspaniały w dotyku, smakował tak cudownie, że w tej chwili nic poza nim nie miało znaczenia.

- Jesteś taka piękna - szepnął, podciągając jej sweter. - Taka drobna, doskonała i piękna...

Czuła jego pożądanie, czuła narastającą w swoim wnętrzu rozkosz, błagającą o zaspokojenie.

Zaspokojenie, które było niemożliwe; zrozumiała to, gdy otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą koronkowy baldachim.

To nie mogło zdarzyć się tutaj, w miejscu tak przesyconym wspomnieniami jej dzieciństwa.

- Nie tutaj, Meg - głos Jeda zawtórował jej myślom. Zaczął całować ją lekko, uspokajająco, po szyi, policzkach, powiekach, w usta. Spojrzał na nią z góry, ujmując jej twarz w dłonie. - Nie chodzi o to, że cię nie pragnę... W tej chwili nie mógłbym tego powiedzieć, prawda? - dodał ironicznie. - Ale ten... ten pokój... - Obrzucił wzrokiem pamiątki jej dzieciństwa.



- Czuję to samo, Jed. - Wyciągnęła rękę, dotknęła jego rozpalonego policzka i uśmiechnęła się smutno.

- Też nie wydaje mi się to właściwe. Może... może powinniśmy zejść po prostu na dół i zapomnieć, że to się stało?

Bardzo wątpił, by kiedykolwiek zdołał zapomnieć dotyk i smak tej kobiety.

Ale nie chciał kochać się z nią przez krótki czas, pragnął spędzać z nią dni, noce i tygodnie, poznawać ją, odkrywać wszystkie rodzaje rozkoszy, którą mogli się nawzajem obdarzać.

- Zejdziemy na dół. - Skinął głową i odwrócił się, by na nią spojrzeć.  
- Ale nie zapomnimy o tym.

- Dotknął dłonią jej zarumienionego policzka; jej źrenice wciąż były rozszerzone z podniecenia. - Porozmawiamy później, hm, kiedy wszyscy już się położą?

Unikała teraz jego wzroku.

- Jeśli tego chcesz - odpowiedziała wymijająco.

- Porozmawiamy, Meg - powiedział stanowczo. - Naprawdę porozmawiamy.

Zobaczył w jej oczach panikę, ten sam wyraz, który widział wcześniej, gdy pytała go o rozmowę z Sonią. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co go wywołało. Scott. Był pewien, że chodzi o niego, ale nie wiedział, jak to możliwe.

Ani czy Meg zaufa mu wystarczająco, pokocha go wystarczająco, by mu to zdradzić.

Jednakże nie było widać po niej troski, gdy włączyli się w rozdawanie prezentów spod choinki. Scott doskonale bawił się,

odgrywając rolę Świętego Mikołaja. Dziadek podawał mu prezenty, które należało wręczyć obdarowanemu.

Ale został jeszcze jeden mały prezent do wręczenia. Scott uśmiechał się nieśmiało, gdy ze zdecydowaniem ruszył w kierunku babki.

Jed poczuł, jak tężeją mu mięśnie brzucha, gdy zauważył nagłe napięcie na twarzy Meg, lekki ruch jej ręki, jak gdyby chciała powstrzymać synka. Potem ta dłoń opadła, gdy Meg zmieniła zdanie.

Odwrócił się szybko i spojrzał na Lydię. Próbował zmusić ją siłą woli, by - niezależnie od tego, co chciał jej ofiarować Scott - nie sprawiła przykrości chłopcykowi będącemu jej wnukiem.

Lydia sprawiała wrażenie zbitej z tropu, gdy Scott stanął przed nią, podając jej podarunek, który najwyraźniej zapakował własnymi nieporadnymi rączkami w kolorowy papier.

- Dla mnie? - spytała zachrypniętym głosem. To oczywiste, że nie była na to przygotowana. - Ale myślałam, że dostałam już od ciebie i mamusi flakon moich ulubionych perfum?

Jed czuł, jak rośnie w nim napięcie, przesunął się, by zająć miejsce u boku Meg. Wiedział, co przeżywa, jak boi się, że Lydia powie lub zrobi coś, co zrani chłopca. Jeśli to zrobi, uduszę tę babę własnymi rękami, pomyślał gniewnie.

- Tak, babuniu. - Skinął głową Scott, nadal uśmiechając się nieśmiało. - Ale kupiliśmy je w sklepie, a to sam zrobiłem dla ciebie. - Nadal trzymał w wyciągniętych rękach swój prezent.

Lydia przełknęła z trudem ślinę i sięgnęła po pakunek. Twarz jej pobladła pod makijażem.

Przesuwając wzrokiem po obecnych, Jed zauważył, że każde z nich wstrzymało oddech. Sonia przytuliła się do męża i wbiła szkarłatne

paznokcie w jego ramię, David otoczył ramieniem talię Meg, która wspierała się o niego.

Znowu odwrócił się i spojrzął na Lydię, gotów skoczyć i porwać w ramiona Scotta, gdyby stało się coś złego.

- Mamusia mówiła, że masz już jedną - zatrajkotał Scott, gdy jego babka zaczęła rozwijać prezent drżącymi dłońmi. - Ale tę zrobiłem w przedszkolu dla ciebie. Podoba ci się? - dopytywał się z typowym podnieceniem małego dziecka, gdy z papieru wyłoniła się pomalowana na złoto gwiazda.

Trochę krzywa, najwidoczniej zrobiły ją małe, niewprawne paluszki. Ale w oczach Jeda była tym piękniejsza.

Czy jednak Lydia, kobieta, która zawsze była wcieleniem doskonałości, od ufryzowanych włosów po czubki eleganckich butów, będzie w stanie to dostrzec?

Poczuł, jak dłoń Meg wsuwa się w jego dłoń; zacisnął na niej uspokajająco palce, nie spuszczać wzroku z Lydii.

Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał, gdy Lydia patrzyła na prezent od wnuka. Panowało milczenie, narastało napięcie.

- Na choinkę. - Głosik Scotta zaczął lekko drżeć, gdy babka nie zareagowała na jego dar.

Jed spojrzął ponad głowę Meg na Davida. Śmiertelnie blady, nie odrywał oczu od żony, ale nadal się nie ruszał. Czy on nie widzi... dlaczego nic nie robi? Wszystko jedno co, byle powstrzymać to, co ma się zdarzyć.

I wtedy Lydia uniosła powieki, na jej twarzy malowały się uczucia, których Jed dotąd u niej nie widział, w jej oczach zaśniły łzy.

- Jest taka piękna - szepnęła urywanym głosem. - Bardzo, bardzo piękna. - Łzy lały się z jej oczu, gdy zsunęła się z krzesła na dywan, objęła Scotta i tuliła, jak gdyby nigdy, nigdy nie zamierzała go puścić. W końcu spojrzała w górę i spróbowała uśmiechnąć się uspokajająco do wnuka. - Chodź, powiesimy ją od razu na choince - zachęciła go. Wstała, trzymając gwiazdę w dłoni, drugą rękę wyciągnęła do Scotta.

- Możemy? - W głosie Scotta znowu zadźwięczał zapal, wziął babcię za rękę. - Naprawdę?

- Oczywiście, że tak. - Kiedy oboje opuszczali salon, babka nie odrywała od niego wzroku.

Jed zerknął na Meg. Jej policzki też były mokre od łez; puściła jego dłoń, wzięła ojca pod ramię i razem podążyli za tą niezwykłą parą.

Kilkoma długimi krokami przeciął salon. Nie wiedział, co teraz się wydarzy, miał jednak świadomość, że będzie to coś niezwykłego.

I że musi być przy Meg i Scotcie, gdy do tego dojdzie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Meg zatrzymała się gwałtownie w połowie holu. Jej matka i Scott zbliżali się do choinki.

Nadal była wytrącona z równowagi łzami matki. Nigdy, przez całe dwadzieścia siedem lat swego życia, nie widziała jej płaczącej. Nie była pewna, co te łzy miały oznaczać, wiedziała tylko, że matka po raz pierwszy z własnej woli odezwała się do Scotta i dotknęła go. Więcej niż dotknęła - tuliła go, jakby był jej najdroższy ze wszystkich istot na świecie!

Odwróciła się, wyczuwając za sobą obecność Jeda. Wpatrywał się zmrużonymi oczami w jej matkę i Scotta. Próbowali zawiesić gwiazdę na choince, tak wysoko, jak sięgały ramiona chłopczyka, trzymanego przez Lydię na rekach.

Gwiazda nie stała się mniej koślawa, niż była kilka dni temu, gdy Scott przyniósł ją do domu i uparł się, że ją zapakuje; brokat wcale nie był równiej rozproszony po jej promieniach, a jednak w tej chwili była najpiękniejszą ozdobą na całej choince.

- Jest śliczna - zapewniła babka zdławionym głosem. - Po prostu doskonała. Bardzo ci dziękuję.

Meg poczuła ucisk w sercu, gdy Scott uśmiechnął się nieśmiało do swej babci.

- Jak myślisz, Meg? I ty, Jed? - spytała Lydia, nie patrząc na nich. - Czy gwiazda Scotta nie wygląda cudownie?

- Cudownie.

To Jed musiał jej odpowiedzieć. Ona była zbyt zdumiona, słysząc, że matka po raz pierwszy w życiu nazwała ją „Meg”, by mogła się odezwać.

W dodatku matka wyciągnęła rękę i mocno uścisnęła jej dłoń.

- Masz ślicznego syna, Meg - powiedziała z uczuciem. - Musisz być bardzo z niego dumna.

- Wszyscy jesteśmy z niego dumni - zawtórował z uśmiechem ojciec, do którego dołączyli Sonia i Jeremy.

- Och, Davidzie - wykrztusiła wzruszona Lydia.

Ze strony matki czekało Meg jeszcze więcej niespodzianek. Kiedy nadszedł czas na kolację Scotta, Lydia nalegała, że zejdzie z nimi do kuchni. Ku wielkiemu zdumieniu Bessie Sykes, jak sądziła Meg. Lydia zachodziła do kuchni jedynie po to, by omówić z kucharką jadłospis. Tym razem siedziała przy porysowanym, starym stole, zachęcając Scotta, aby zjadł swoje jajko na miękko i pokrojony w wąskie słupki chleb.

Kiedy matka wpadła na górę, żeby zobaczyć, jak Scott bawi się podczas kąpieli, Meg poczuła, że nie może już dłużej powstrzymać ciekawości.

- Mamo, co...?

- Nie teraz, Meg, kochanie - ucięła łagodnie matka. - Najpierw położymy Scotta do łóżka, a potem... będę chciała porozmawiać z wami przed kolacją.

To brzmiało niepokojąco, ale Meg nie miała wyjścia, musiała się zgodzić. Siedząc na brzegu łóżka, długo po tym, jak matka odeszła, a Scott zapadł w sen, zastanawiała się, o czym Lydia chciała z nimi wszystkimi rozmawiać. Ale przecież dziś było Boże Narodzenie, i - być może - noc cudów.

- Wszyscy już czekają na dole.

Po raz kolejny Jed wszedł bez zaproszenia do jej sypialni, ale po tym, co wydarzyło się między nimi tego popołudnia, niegrzecznie byłoby mu tego bronić.

- Jak myślisz, o co chodzi?

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie tylko na dworze mamy odwilż.

Otworzyła szeroko oczy, wstała i podeszła do okna.

Jed miał rację - śnieg zaczął tajać, w miarę jak rosła temperatura. Widać było zieloną trawę w miejscach, gdzie śnieg zdążył stopnieć.

A to znaczyło, że Jed wkrótce odjedzie. Wróci do swego domku, może nawet do Nowego Jorku, i nigdy go już nie zobaczy. Na tę myśl poczuła ból w piersiach, w gardle ją ścisnęło, łzy, które przez ostatnie dni czały się pod powiekami!, przesłoniły jej wzrok.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił z przekonaniem Jed, najwyraźniej źle odczytując, co skłoniło ją do płaczu. - Jestem pewien, że rozmowa z twoją matką wszystko zmieni. Chociaż... tak się zastanawiałem... Skoro nie należę do rodziny - jak oboje wiemy, jestem osobą całkowicie obcą - czy nie byłoby lepiej, gdybym dołączył do was trochę później?

Zmusiła się, by rzucić mu pokrzepiający uśmiech.

- Oczywiście - skinęła głową. - Wyjaśnię wszystkim, że piszesz. Z pewnością to zrozumieją. - Co zresztą mogło być prawdą; była pewna, że po południu Jed znowu pracował nad książką. - Sądzę, że czas, abym się przebrała - dorzuciła stanowczo, próbując powstrzymać łzy. - Inaczej moja rodzina wyśle kogoś na poszukiwania. Za późno! - skrzywiła się, słysząc ciche pukanie do drzwi.

Chwilę później do środka wszedł ojciec.

- Otworzyliśmy szampana na dole, może przyłączycie się do nas? - rzucił lekko, choć namysł w jego przymrużonych oczach zdradził Meg, że wychwycił napięcie pomiędzy nią a Jedem.

- Nie zdążyłam się przebrać.

- Och, nie martwiłbym się tym - rzucił lekceważąco. - To tylko zimna kolacja i wydaje mi się, że wszyscy postanowili zostać w tym, w czym są.

Otworzyła szeroko oczy: kolejna zmiana. W tej rodzinie zawsze przebierano się do kolacji.

- Wydaje mi się, że Jed wolałby zostać na górze i zająć się pisaniem.

- O nie, nie. Nie ma mowy. - Ojciec zmarszczył brwi. - Nie ma mowy.

Spojrzał uważnie na młodego człowieka. Nie miała pojęcia, co sobie bez słów powiedzieli, wiedziała tylko, że to zrobili.

Jed wzruszył ramionami i oznajmił, że zmienił zdanie, że wiadomość o szampanie jest bardzo zachęcająca.

- Ale...

- Daj mu spokój, Meg. Każdy ma prawo zmienić zdanie, kiedy podają szampana - zażartował ojciec.

Tyle że wszyscy wiedzieli, że nie z tego powodu Jed zmienił zdanie.

Jed ujął Meg pod ramię i ścisnął je lekko, gdy wchodzili za jej ojcem do salonu, gdzie siedziała reszta rodziny. Podążył za nią przez pokój, gdy zdecydowała się zająć krzesło ustawione nieco na uboczu. Stał za jej krzesłem, gdy David wręczył im obojgu po kieliszku szampana.

- Chodź tu, Meg - zachęciła ją matka, poklepując miejsce obok siebie na kanapie. Drugą kanapę zajęli Sonia i Jeremy. - Przede wszystkim - Lydia uśmiechnęła się niepewnie - chciałabym wypić za zdrowie mojego



cudownego męża Davida, który jest o wiele mądrzejszy i odważniejszy ode mnie. I któremu zawdzięczamy, że razem spędzamy te cudowne święta. Dziękuję, Davidzie.

Podniosła kieliszek do ust i wypła trochę, reszta rodziny poszła za jej przykładem ze słowami „zdrowie taty” lub „Davida”.

- I za zdrowie moich pięknych córek - ciągnęła Lydia ze wzruszeniem. - Mojej uroczej Soni, takiej pięknej i zdolnej. I Meg...

Jed wstrzymał oddech, czekając, co będzie miała do powiedzenia na temat drugiej córki. W jego oczach Meg była tą piękniejszą z bliźniaczek, jej wewnętrzne piękno sprawiało, że po prostu jaśniała. Nadal jednak nie wiedział, czy Lydia była w stanie to zobaczyć.

- Mojej ślicznej, ślicznej Meg. - Lydia zwróciła się do córki, oczy lśniły jej ze wzruszenia. - Taka jestem z ciebie dumna - ciągnęła schrypniętym głosem. - Jesteś piękna, ciepła, pełna miłości, jesteś cudowną matką dla Scotta, taką matką, jaką powinnam być dla moich córek, a nigdy nie mogłam. Za moje wspaniałe córki. Wzniosła toast, mężczyźni poszli za jej przykładem.

Jed poczuł lekkie rozluźnienie w mięśniach ramion. Nie wiedział, co teraz nastąpi, ale był pewien, że nie będzie to nic, co mogłoby zranić Meg.

- Chciałabym wznieść jeszcze jeden toast - ciągnęła drżącym głosem Lydia. Wyciągnęła rękę i mocno zacisnęła ją na dłoni Davida, stojącego u jej boku.

- David i ja długo rozmawialiśmy i postanowiliśmy powiedzieć wam wszystko o...

- W porządku, Lydio, ja to powiem - wtrącił David.

- Wznoszę toast za naszego ukochanego i niezapomnianego syna, Jamesa Davida.

Jed poczuł, że Meg drgnęła z zaskoczenia, szybkie zerknięcie na bladą twarz Soni zdradziło mu, że była tak samo zaskoczona tym oświadczeniem jak Meg. David i Lydia mają syna? Mieli syna, zrozumiał, widząc wyraz twarzy Lydii.

- Za Jamesa Davida. - Lydia sączyła szampana, nie patrząc na nikogo, ale nadal zaciskała dłoń na ręce Davida. - Powinniśmy powiedzieć wam o tym dawno temu, wasz ojciec chciał tego, ale... ale ja błagałam, żeby tego nie robił. - Złapała gwałtownie oddech.

- Dwa lata przed waszym przyjściem na świat, wasz ojciec i ja mieliśmy syna, pięknego chłopczyka, Jamesa Davida, ale... żył tylko tydzień. Urodził się przedwcześnie i... choć lekarze robili wszystko, co w ich mocy, umarł. Kiedy ponad rok później dowiedziałam się, że znowu jestem w ciąży, że będą bliźnięta, ja... nie sądziłam, że sobie poradzę, że mogłabym ponownie przeżyć taką stratę. A kiedy urodziły się nasze córeczki, znowu przedwcześnie, moje uczucia po prostu obumarły. W samoobronie, jak sądzę - dodała pogardliwie. - Co gorsza, wypisano mnie do domu, ale ponieważ byłyście takie malutkie, zatrzymano was w szpitalu na parę tygodni - ciągnęła cicho. - To było... nie wiem nawet, jak opisać swoje uczucia. Znowu wróciłam do domu bez dziecka w ramionach, i choć spędzaliśmy z wami w szpitalu każdy dzień, to nie było to samo. - Śmiertelnie blada, potrząsnęła głową.

Jed uświadomił sobie, że nie została wtedy nawiązana więź, tak niezbędna tej kobiecie, która utraciła już jedno dziecko.

- Gdy wreszcie pozwolono zabrać was do domu, ja... nie czułam się dobrze, i ojciec musiał wszystko przy was robić - ciągnęła. - Oczywiście, to nie mogło trwać długo, musiał wrócić do pracy, a ja... ja po prostu byłam zbyt chora, by się wami zająć. Przyjęliśmy nianię i... jeszcze

bardziej się od was odsunęłam. To nie znaczy, że was nie kochałam, nie, po prostu...

- Och, mamusiu - wykrztusiła Meg. Zwróciła się do matki i otoczyła ją opiekuńczo ramionami. - Jakie to było okropne dla ciebie. Po prostu okropne.

Sonia szybko przeszła przez pokój i dołączyła swój uścisk. Mężczyźni przyglądali się temu bezradnie, instynktownie zdając sobie sprawę, że była to wyjątkowa chwila, dotycząca wyłącznie tych trzech pięknych kobiet.

- Musicie mi uwierzyć, że was kocham - wyszlochała ze wzruszeniem Lydia. - Że zawsze was kochałam. Po prostu za bardzo się bałam, żeby to okazać, byłam zbyt tchórzliwa.

- Nic podobnego - zapewniła ją stanowczo Meg.

- Jesteś najmniej tchórzliwą osobą, jaką znam.

Lydia delikatnie dotknęła jej policzka.

- Gdyby twój ojciec nie nalegał, żeby zaprosić cię na święta, prawdopodobnie nadal byłybyśmy skłócone. - Zmarszczyła brwi. - Przez te wszystkie lata David stał z boku i przyglądał się, kochał mnie, kochał swoje córki, ale nie wiedział, jak nas połączyć. Dopiero gdy prawie go utraciłam, oprzytomniałam trochę. Ale nawet wtedy trzymałam was na dystans, gdy przyjechałyście do domu. Ale Scott, kochany Scott... - głos jej drżał ze wzruszenia. - Choć próbowałam to zwalczyć, zwalczyć miłość do niego, sprawił, że wszystkie bariery runęły. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Jest taki piękny, wyobrażałam sobie, że tak wyglądałby James w tym wieku. - Urwała, zalew uczuć nie pozwolił jej mówić dalej.

Jed poczuł się nieswojo na widok cierpienia tej kobiety, po twarzy Jeremy'ego widział, że on też czuł się intruzem.

- Teraz będzie inaczej. Ja będę inna. O ile mi pozwolicie...? - Lydia spojrziała niepewnie na córki.

- Oczywiście, że ci pozwolimy - zapewniła ją Meg ze słabym uśmiechem. - Jesteś naszą matką, na litość boską.

- Oczywiście, że nią jesteś. - Sonia uścisnęła Lydię i znowu usiadła. - Ale skoro nadszedł czas dzielenia się tajemnicami...

- Soniu - wtrąciła się ostro Meg, patrząc na siostrę.

- W porządku - zapewniła ją Sonia. - Rozmawiałam z Jeremym i...

- Nic nie jest w porządku - warknęła gniewnie Meg. Zerwała się nagle, na tle bladej twarzy jej oczy rozbłysły zielenią.

Sonia westchnęła.

- Meg, muszę to zrobić.

- Nie, nie musisz. - Meg patrzyła z wściekłością na bliźniaczkę, zacisnęła mocno pięści. - Zawarłyśmy układ, ty i ja, układ, którego dotrzymałam, i nie pozwolę ci na to.

Jed wpatrywał się w obie kobiety, podobnie jak Lydia i David, zastanawiając się, o jakim układzie jest mowa. Sonia wyciągnęła błagalnie rękę.

- Meg, kochanie.

- Nie. - Meg cofnęła się przed tą ręką, oddychając gwałtownie z wielkiego wzburzenia. - Jeśli to zrobisz, przysięgam, że nigdy ci nie wybaczę.

Sonia była teraz równie blada jak Meg, jej dłoń opadła bezwładnie.

- Nie chcę cię zranić.

- Nie chcesz? - spytała pogardliwie Meg. - Więc wybrałaś dziwny sposób, żeby to okazać.

- Ale wszystko jest w porządku -- nalegała z uporem siostra. -  
Powiedziałam prawdę Jeremy'emu i on mnie zrozumiał.

- Nie obchodzi mnie, czy to rozumie czy nie.

- Meg drżała z gniewu. - Ja nie rozumiem. Słyszysz? Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy.

Odwróciła się i prawie wybiegła z pokoju. Zapanowała pełna osłupienia cisza.

Jed poruszył się pierwszy. Zerwał się gwałtownie na nogi, z ponurym wyrazem twarzy, i ruszył za Meg. Nie miał pojęcia, co się dzieje, wiedział tylko, że Meg cierpi i że musi do niej pójść.

Meg wrzucała właśnie swoje rzeczy do podróźnej torby, kiedy wyczuła, że Jed wchodzi do sypialni. Nie zadała sobie trudu, by odwrócić się i spojrzeć na niego. Wiedziała tylko, że musi stąd odejść. Musi zamówić taksówkę, obudzić Scotta i znaleźć się tak daleko od tego miejsca, jak to możliwe.

- Meg, co się dzieje? - spytał cicho Jed za jej plecami.

Co się dzieje? Sonia zamierzała właśnie rozbić życie Meg. Oto, co się dzieje.

- Możesz zostawić mnie w spokoju? - Odwróciła się do niego z furją.

- Próbuję to zrozumieć.

- Dlaczego? - spytała zjadliwie. - Wyjeżdżasz rano, po co więc starasz się zrozumieć tę toksyczną rodzinę?

Wzdrygnął się, gdy rzuciła mu w twarz jego własne określenie.

- Czy ty i Sonia pokłóciłyście się o ojca Scotta... o to chodzi?

Rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- Co?

Jed zmarszczył czoło.

- Związałaś się z nim, a potem odkryłaś, że Sonia też się z nim spotyka...? - Urwał, gdy Meg zaczęła się śmiać.

W tym śmiechu dźwięczała histeria, nie rozbawienie; śmiała się, a jednocześnie łzy spływały jej po policzkach.

- Przejdźmy do drugiej sypialni - szepnął, gdy Scott poruszył się we śnie. Wziął Meg za rękę, zanim zdążyła zaprotestować, wciągnął ją do sąsiedniego pokoju i cicho zamknął drzwi.

- Wyjaśnij mi to, Meg - nalegał stanowczo i potrząsnął nią lekko. - Na litość boską, wyjaśnij mi.

- Scott nie jest moim synem - wybuchnęła wzburzona. - Scott nie jest moim synem - powtórzyła urywanym głosem.

Jed wpatrywał się w nią bez słowa, bez ruchu, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Sonia właśnie zdobyła dyplom prawnika, związała się z jednym z młodszych wspólników firmy, która ją zatrudniła. Żonatym młodszym wspólnikiem, którego żona była córką starszego wspólnika - dorzuciła bezbarwnym tonem. - Jestem pewna, że zgadniesz, co było dalej.

- Zorientowała się, że jest w ciąży - warknął.

- Tak - westchnęła. - W tym czasie mieszkaliśmy w jednym mieszkaniu w Londynie, dzieliliśmy wydatki, a kiedy Sonia powiedziała mi o dziecku i że nie zamierza go urodzić, byłam przerażona. - Przełknęła ślinę. - Namówiłam ją, żeby je urodziła, powiedziałam, że jej pomogę, że nie będzie sama. Byłam pewna, że jak już dziecko przyjdzie na świat, pokocha je i zechce zatrzymać.

- Ale nie zechciała - szepnął cicho.

Meg odwróciła się. Doskonale pamiętała tamtą noc w szpitalu, gdy urodził się Scott. Jak siostra odwróciła się od niego i nie chciała nawet go

dotknąć. To Meg wzięła dziecko w ramiona, czując przyływ ogromnej miłości, gdy na nie spojrzała.

Gdy matka i syn wyszli ze szpitala, Scott został oddany pod jej opiekę. Sonia podjęła znowu pracę, w innej firmie, i prowadziła życie towarzyskie, jakby Scott nigdy nie istniał. Sześć miesięcy później oznajmiła, że poznała Jeremy'ego i zamierza go poślubić.

Meg nie nosiła w sobie Scotta, nie urodziła go, ale pod każdym innym względem była jego matką. Kochała go i pieściła, troszczyła się o niego.

Oświadczenie Soni, że zamierza wyjść za mąż, przeraziło ją; wpadła w panikę na myśl, że może utracić to śliczne dziecko. Ale niepotrzebnie się martwiła, gdyż Sonia zapewniła, że nie weźmie ze sobą Scotta, że Meg może go sobie zatrzymać, jeśli zechce. Pod jednym warunkiem: że nigdy nikomu nie powie, że Scott nie jest jej synem.

I nigdy tego nie zrobiła. I nie zamierzała wyrzec się go teraz, tylko dlatego, że Sonię dopadły spóźnione wyrzuty sumienia.

- Nie, nie chciała go - potwierdziła głuchym głosem. - A teraz mi go nie odbierze.

Jed zmrużył oczy.

- Sądysz, że tego chce?

Uniosła brwi.

- A ty nie?

- Nie - odpowiedział po krótkim namyśle. - Sonia mówiła, że powiedziała Jeremy'emu o Scotcie. A nie, że zamierza ci go odebrać. Poza tym, czy naprawdę myślisz, że twoi rodzice staliby bezczynnie i pozwolili, by zrobiła coś takiego tobie i Scottowi? - tłumaczył.

- Ale....

Jed miał rację. Sonia nie mówiła, że chce odzyskać Scotta, tylko że wyznała mężowi prawdę.

Obserwował wrażenia, które przemknęły po twarzy Meg, zanim wstała i opuściła sypialnię. Nie ruszał się przez kilka chwil, nadal oszołomiony tym, co mu powiedziała.

Jaka kobieta mogła przygarnąć nowo narodzone, niechciane dziecko siostry?

Kobieta, którą kochał, przyznał z trudem. Teraz więcej niż kiedykolwiek, gdy wiedział, co zrobiła, na jakie poświęcenia się zdobyła, by zatrzymać przy sobie Scotta. I wiedział, że nigdy tego nie żałowała, że gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłaby to ponownie.

Była niezwykłą kobietą. Nieskończenie bezinteresowną.

Nieskończenie godną uwielbienia.

I pragnął wziąć ją w ramiona, pieścić, chronić i nigdy nie pozwolić jej odejść. Czy nie tak brzmiały słowa małżeńskiej przysięgi?

W każdym razie podobnie, uświadomił sobie, nieco oszołomiony. Bo tego właśnie chciał. Małżeństwa. O niczym innym nie mogło być mowy.

Ale teraz nie był właściwy czas, by jej to powiedzieć.

- Jed?

Odwrócił się i zobaczył w drzwiach Davida Hamiltona.

- Co z Meg? - spytał go szorstko.

David uśmiechnął się przepaszająco.

- Jeremy i ja zostawiliśmy Meg, Sonię i ich matkę przy dyskusji, jak Meg może oficjalnie zaadoptować Scotta.

Jed wzniósł oczy do nieba, odetchnął z ulgą i zwrócił się do starszego pana:

- Twoja młodsza córka jest niezwykłą kobietą.



- Prawda? Ale na swój sposób także Sonia jest niezwykła - dodał cicho. - Wiedzieć i zaakceptować, że nie jest się w stanie być matką, jakiej dziecko potrzebuje, i oddać to dziecko komuś, kto jest do tego zdolny, wymaga naprawdę wielkiej odwagi.

Czyżby? Możliwe, zgodził się Jed. Sonia miała dwadzieścia trzy lata, gdy urodził się Scott, została porzucona, możliwe, że bała się, jak będzie wyglądała jej przyszłość jako samotnej matki.

Co nie zmieniało faktu, że Meg zdecydowała się przejść przez to wszystko dla dziecka, które nie było jej dzieckiem.

- Sądzisz, że wszystko dobrze się ułoży dla Meg?

- O tak - zapewnił go z przekonaniem David. - Lydia i ja o to zadbamy. Scott stał się nam wszystkim bardzo drogi i zostanie ze swoją matką.

Jed nie wątpił, że Hamilton dotrzyma słowa, ani że Lydia dopilnuje, by to zrobił. Ona najlepiej wiedziała, jak to jest utracić dziecko, które się kocha.

Mimo to Jed krążył niespokojnie po pokoju, czekając, aż Meg wróci na górę. Musiał z nią porozmawiać, choćby po to tylko, by z jej ust usłyszeć, że wszystko jest w porządku.

To ona zapukała do drzwi jego sypialni. Gdy otworzył, na jej twarzy zobaczył zawstydzenie.

- Chyba jestem ci winna przeprosiny za to, co powiedziałam wcześniej.

- Może przestaniesz mówić ze mną jak uprzejma, obca osoba? - rzucił niecierpliwie, wciągając ją do sypialni i zamykając za nią drzwi. - Kiedyś byliśmy sobie obcy, ale nie sądzę, by nadal tak było. I z pewnością nie byliśmy wobec siebie uprzejmi - dodał ponuro.

- Och, jestem pewna, że to nieprawda - odpowiedziała. - Musieliśmy być dla siebie uprzejmi, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali. No, może i nie - dorzuciła figlarnie, najwyraźniej przypominawszy sobie okoliczności tamtego spotkania.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał na nią uważnie.

- Twój ojciec powiedział, że... wszystko jest już w porządku?

- Tak. - Radość rozjaśniła jej twarz. - Zamierzam zaadoptować Scotta i nikt go mi już nie odbierze.

- Czy wiesz... czy zdajesz sobie sprawę...? Mój Boże, Meg. - Otoczył ją ramionami i mocno przycisnął do siebie. - Jesteś najbardziej niezwykłą osobą, jaką spotkałem. Nie znam innej kobiety, która zrobiłaby to, co ty. - Jęknął. - I chcę... I chcę...

- Tak? - ponagliła go, gdyż wydawało się, że nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Istotnie zabrakło mu słów, nie miał pojęcia, jak powiedzieć tej pięknej i cudownej kobiecie, którą znał dopiero od trzech dni, że ją kocha, że chce się z nią ożenić i chce, aby ona i Scott byli przy nim przez cały czas.

Nigdy w ciągu całej ich znajomości Meg nie widziała, by Jedowi zabrakło słów.

Ale była taka szczęśliwa, miała wrażenie, jakby zdjęto jej wielki ciężar z ramion. Cała prawda o Scotcie wyszła na jaw i Sonia zgodziła się, by Meg oficjalnie go adoptowała.

To było, jak gdyby sen się ziścił, po latach martwienia się, że Sonia może w każdej chwili zmienić zdanie i uznać, że jednak chce odzyskać Scotta. Teraz, gdy ten strach minął, czuła się, jakby była zdolna podbić cały świat, a przynajmniej - skłonić Jeda, by z nią porozmawiał.

- Powiedz mi, czego chcesz? - spytała śmiało.

- Ciebie - powiedział ze zdecydowaniem. - Chcę ciebie, Meg Hamilton.

Ona też go chciała. Wydawało się, że prawda wyzwoliła ją nie tylko pod jednym względem.

No dobrze, więc jest sławnym pisarzem, ma domy w wielu miejscach na kuli ziemskiej, ale to nie znaczy, że nie mogą...

- Nie mam pojęcia, o czym myślisz... - objął ją mocniej, na jego twarzy malowało się zdecydowanie - ale chcę, żebyś wiedziała, że moje zamiary są jak najbardziej uczciwe. Małżeństwo - ciągnął stanowczo. - Zgoda, abym został ojcem Scotta. Bycie moją żoną przez następne tysiąc lat. I...

- Jed, o czym ty mówisz? - zachłysnęła się ze zdumienia; to była ostatnia rzecz, której się spodziewała.

- Chcę się z tobą ożenić, Meg Hamilton. Kocham cię, pragnę i potrzebuję ciebie - powiedział. - Zdaję sobie sprawę, że nie możesz na razie czuć do mnie tego samego, ale daj mi szansę, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby to się stało. Kocham cię i nigdzie nie pojedę bez ciebie.

Meg gapiała się na niego. Jed ją kocha. Nie wierzyła, że to możliwe, była tak pewna, że wyjedzie rano i nigdy go już nie zobaczy.

- Mówiłem sobie od początku, że się nie będę angażował. Powinienem wiedzieć, że to zrobię, właśnie dlatego, że musiałem sobie to mówić - mruknął pogardliwie. - Wiem, że zachowałem się jak zrzęda, gdy się spotkaliśmy. Zawsze taki jestem, gdy nie idzie mi pisanie, a wtedy nie szło. Ale zwykle tak się nie zachowuję. No dobrze, czasami. Ale spróbuję tego nie robić, naprawdę spróbuję.

- Jed, miałeś prawo zrzędzić przy naszym pierwszym spotkaniu.  
Wjechałam samochodem w twój dom - wtrąciła.

- W dom mojego wydawcy - poprawił. - I nie powinienem być taki rozdrażniony. Miałem przed sobą młodą kobietę i jej synka, którzy zagubili się w śniegu. Ale ty wystraszyłaś mnie śmiertelnie... Nie wtedy, gdy wjechałaś w dom - poprawił się niecierpliwie, gdy się skrzywiła. - To ty, ty mnie wystraszyłaś. Nigdy wcześniej nie pożałowałem kobiety, której jednocześnie pragnąłem bronić, nawet przed sobą, jeśli to będzie konieczne. I pamiętam, że powiedziałaś mi, że nie chcesz stałego związku.

- To z powodu Scotta. Każdy mężczyzna, który by mnie kochał, musiałby dowiedzieć się prawdy o nim - wyjaśniła, gdy zmarszczył brwi. - I z pewnością trudno wychowywać dziecko innego mężczyzny. Nie wyobrażam sobie, by ktoś chciał wziąć sobie na kark taki kłopot.

Twarz Jeda złagodniała.

- Patrzysz na takiego. Będę jego ojcem, tak jak ty jesteś jego matką. Co mogę powiedzieć? Kocham tego dzieciaka niemal tak mocno, jak kocham ciebie.

- Jed - dotknęła dłonią jego twardego policzka - nie uważam cię za zrzędę. Myślę o tobie jako o cudownie uprzejmym człowieku, który przez te trzy dni był zawsze przy mnie, gdy go potrzebowałam.

- Nie chcę twojej wdzięczności, do diabła. - Urwał, krzywiąc się ironicznie. - Może będę musiał trochę popracować nad tym zrzędzeniem - przyznał niechętnie.

Zaśmiała się, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie pracuj nad nim przesadnie, mogę cię nie rozpoznać. Bo prawda jest taka, że cię kocham. Kocham cię takiego, jaki jesteś.

Potrząsnął głową.

- Czy powiedziałaś, że mnie kochasz? - Wyglądał na lekko oszołomionego.

- Tak - zaśmiała się cicho. - Kocham cię, Jed - powtórzyła, ciesząc się, że może wypowiedzieć te słowa. - Na myśl o tym, że rano odjedziesz, że nigdy cię nie zobaczę, czułam się ogromnie nieszczęśliwa - wyznała drżącym głosem.

Jego ramiona zacisnęły się wokół niej, przycisnął ją do siebie.

- Wyjdiesz za mnie, Meg? Czy ty i Scott wyjdziecie za mnie?

- Tak - wykrztusiła wzruszona, wiedząc, że ofiarowywał jej ziemski odpowiednik raju. - Och, tak.

- Więc myślę, że mamy jednak świąteczne prezenty dla siebie - szepnął. Tylko kilka centymetrów dzieliło jego usta od jej warg. - Każde z nas - jęknął, przyciskając usta do jej ust.

Meg nie miała wątpliwości, że był jej bratnią duszą, człowiekiem, z którym pragnęła spędzić resztę życia.

Jed jedną ręką przyciskał do ucha słuchawkę telefonu, drugą obejmował mocno Meg, która siedziała przytulona do niego w bibliotecznym fotelu.

Była taka drobna i piękna, taka ciepła i kochająca.

- Cześć, mamó - odezwał się. Ledwo był w stanie odróżnić głos matki spośród tych rozmów i śmiechów, które słyszał w tle. - Mamó, dzwonię, żeby życzyć wam wesołych świąt i żeby powiedzieć, że za kilka dni przedstawię ci moją narzeczoną. - Odsunął słuchawkę, gdyż matka krzyknęła głośno z podniecenia.

Meg. Jego narzeczoną. A wkrótce żoną.

- Mam tylko jeden warunek, jeśli chodzi o nasze małżeństwo. - Jed odwrócił się, by pocałować Meg, gdy tylko skończył rozmowę z rodziną.

- Jesteśmy dopiero zaręczeni od godziny i już stawiasz warunki?

Spojrzała na niego kpiąco oczami pełnymi miłości. Jej rodzina z radością przyjęła oświadczenie, że zamierzają się pobrać. Otworzono kolejną butelkę szampana, żeby wznieść zdrowie szczęśliwej pary.

Skinął głową bez śladu skruchy.

- Następne Boże Narodzenie spędzimy z moją rodziną. Nie obchodzi mnie, czy będziemy musieli przewieźć samolotem całą twoją rodzinę, ale święta spędzimy na farmie.

- Scott zakocha się w farmie twoich rodziców. - Uśmiechnęła się.

- To tak, jak ja. - Pokazał zęby w uśmiechu. - Tam nie musimy przebierać się do kolacji. Prawdę mówiąc, może nawet wcale nie zejdziemy na kolację - mruknął zmysłowo.

Meg śmiała się.

- Nie obchodzi mnie, gdzie będziemy, byleby razem.